LEO BELMONT

RYMY i RYTMY

WYBÓR POEZYJ

TOM I

Utwory oryginalne

Część I-sza

WARSZAWA
JAN FISZER
1900

Дозволено Цензурою
Варшава, Октября 12 дня 1899 г.

Warszawska Drukarnia i Litografja Trębacka 11

RYMY I RYTMY

WYBÓR POEZYJ.

Żonie mojej

Amelii

poświęcam.

PRZEDMOWA.

Wydawać tomy poezyj, nie będąc jednym z tych niewielu, których pieśń potrzebną jest narodowi, jak chleb powszedni, jednym z tych, na których społeczeństwo nieraz przez wieki czeka, jednym z tych, którzy mówić w głos powinni i muszą, jako na mocy praw natury, w przesyconej elektrycznością atmosferze, huczy grom i płonie błyskawica, oświetlając drogi w ciemnościach nocy!... Czy to nie nonsens?

Drukować tomik poezyj w dobie, kiedy nasza niwa literacka wydała tak obfity plon dźwięcznych pieśni kiedy ustroiła się naokół

bogato wonnem poetyckiem kwieciem, kiedy owo zwątpienie—którego nie zna tylko bardzo wielki talent, albo bardzo wielka próżność—szepcze mi szyderczo: „chcesz więc światu powiedzieć jeszcze raz to samo, lub prawie to samo, co rzekli już inni, powiedzieć niemal tak samo, a może znacznie *gorzej*, niż inni, którzy przemówili przed tobą!“... Ma-ż to sens?

Puszczać w świat tomik poezyj w chwili, gdy tyle innych leży na wystawach księgarskich, a nie wabi prawie niczyich oczu, albo najwyżej pociąga oczy sentymentalnej pensyjonarki, jeszcze lubiącej czytać wiersze!... Czy to nie śmieszna myśl?

A przecie ta myśl, odpychana przezemnie długo, wzięła górę nad mnóstwem zarzutów własnego mego rozsądku, nad wahaniem i obawami, i oto — wydaję tom poezyj, ba! całe dwa tomy... z przekładami — aż trzy!

Dlaczego?

Nie wiem dobrze sam... Ale zdaje mi się, że działają tu dwa motywy, jeden — o charakterze społecznym, drugi — raczej egoistyczny.

Po pierwsze, coś popycha nas, ludzi pióra, bez względu na miarę talentu, (czasami niewymiernego, jak... punkt matematyczny), do dzielenia się myślą i uczuciem z szerszemi kołami społecznemi... Tak jest! to cecha mocno społeczna. To nie objaw próżności. Gdyby szło o zadowolenie tylko tej ostatniej, poprzestawalibyśmy na... uznaniu kilku lub kilkunastu przyjaciół i znajomych. Ludzi jest tak wiele na świecie, że przy „dobrych chęciach" wielbicieli zawsze znaleść można! Niema wreszcie takiego głupstwa, które nie mogłoby zbudzić podziwu i zachwytu... Trzeba tylko dobrze poszukać i nie bardzo być wybrednym w wyborze słuchaczy. Trzeba szukać zwłaszcza śród tych, którzy również piszą wiersze i także... poszukują adoracyi. My tymczasem rzucamy książkę naszą w tłum ludzi nieznanych, niewiadomych, obojętnych, wiedząc z góry, że jeżeli słowo nasze nawet znajdzie śród nich oddźwięk serdeczny, to głosy uznania nie przebiją się ku nam, lecz będą jak szum niewyraźny dalekiego morza. Rzucamy książkę na rynek księgarski,

wiedząc, że krótkie słówko odpowiedzi znajdziemy zaledwie w pobieżnych zazwyczaj ocenach krytyków dziennikarskich, śród których są tylko nieliczni ludzie wytrawnego i poważnego sądu lub głębszej intuicyi; większość zaś albo zgoła nie umie, albo poprostu nie ma czasu głębiej wejrzeć w krytykowane utwory i w artykułach swoich przeważnie popisywać się lubi ciętością pióra. I niema się czemu dziwić: napisać pochwalną krytykę, któraby nie mdliła, jest rzeczą niezmiernie trudną. Wytrzepać, schłostać, ściąć, porąbać jest daleko łatwiej. Spokojna, przedmiotowa ocena w zajmującym tonie wymaga znowu za dużo czasu, pracy i daru krytycznego. Spodziewając się tedy raczej nagany, albo... naganki, zrąbania, albo... zgoła przemilczenia, niż sądów pochlebnych, lub przedmiotowej oceny, niesiemy jednak książkę naszą na plac publiczny, bo *nie możemy nie podzielić się* naszą myślą i uczuciem z owym tłumem pokrewnych nam choć nieznanych jednostek, wierząc w to, że nawet niezbyt oryginalna myśl i niezbyt niepowszednie uczucie

dzięki pewnej nowości formy stanowią coś, czem podzielić się potrzeba. A owa *względna nowość* formy jest zapewniona choćby poprostu przez odmienność indywidualności piszącego. Dwóch zupełnie podobnych indywidualności niema na świecie. Wszystko, co nie jest przepisanem, musi być tedy nowem...

A drugi motyw? Ach! to ów bunt wszystkiego, co żyje duchem,—bunt przeciw śmierci! W gruncie rzeczy umieramy ciągle, powoli każdej chwili, bo się zmieniamy. A wreszcie przychodzi owa ostateczna zmiana — śmierć fizyczna, po której zachodzą już tylko zmiany materyjalne, bez tła indywidualnego, posłuszne powszechnym prawom chemicznym... Któż z nas pamięta dokładnie, jak myślał, czuł wczoraj, czem w ogóle był wczoraj?... Lecz oto otwierasz stary kajet, z którego wylatują żółkniejące, już zlekka kartki, wczytujesz się w dawno napisane utwory i widzisz zdziwiony, że to, co w tobie już zmarło, lub przeobraziło się pod wpływem czasu i biegu wrażeń do niepoznania, tam żyje jeszcze... Jak gdyby kawałki duszy

stężały i pozostały!... I pragniesz, aby żyły dłużej jeszcze, aby pozostały, gdy ty powoli umierasz, aby pozostały—jeżeli można—nawet wówczas, gdy ciebie już nie będzie... Drukowana książka—rzecz—mniej jest śmiertelną od ciebie... Pragniesz przeto umierającą zwolna duszę swoją — taką rzeczą uczynić!...

To pragnienie zachowania swej duszy, jakąkolwiek jest ona, stanowi wielki bodziec do pisania. W księdze poezyj oddajemy duszę naszą światu. Czy świat ją uzna za godną przyjęcia, czy też odepchnie—to już rzecz nie nasza. Obdarowany ma prawo sądzić wartość daru, a wyrok jego, praktycznie biorąc, jest zawsze słuszny. Jeżeli dar odrzuca, nie jest mu on potrzebny. Dodam, że ma prawo sądzić surowo, bo właściwie ten dar jest tylko *zwrotem* za to, co wziął autor od swego społeczeństwa. A dało mu ono wiele—język i wszystkie skarby swojej literatury...

Tak patrząc na niniejszą książkę, miast „wyboru poezyj“, daję *zbiór* *), w którym czy-

*) W tytule książka nazwaną została „*wyborem*,“ ponieważ stanowi ona tylko *cząstkę* wszystkiego, co napisa-

telnik znajdzie utwory, pisane *w latach 1882—1899, t. j. poczynając od roku osiemnastego mojego życia* **). Jakkolwiek z najróżniejszych względów nie znalazło tu miejsca mnóstwo utworów z tej-że epoki, nazywam książkę tę nie „Wyborem“, lecz „Zbiorem poezyj“, ponieważ umieściłem w niej niektóre utwory nawet według mojego zdania — jeżeli autor może nie mylić się w sądach o sobie — mniejszej wartości, o ile uważałem je za konieczne uzupełnienie duchowej fizyjonomii autora, którą winna odtworzyć księga poezyj. Chodziło mi o to, aby ta spowiedź poetycka — a tem jest każda liryka — była, o ile można, szczerą i zupełną.

łem w oznaczonym wyżej przeciągu czasu. Wszakże właściwego „*wyboru poezyj*“ należałoby dokonać *ściślej!* Czuję to dobrze... dałem się jednak pociągnąć innym, powyżej skreślonym względom. Czy postąpiłem słusznie, niech sądzą inni! W każdym razie ci, dla których krytyka jest... bojowym atakiem w celu zgnębienia nieprzyjaciela (takim jest każdy nowy autor dla tej kategoryi „wojujących krytyków“) nie powinni skarżyć się na mnie. Ułatwiłem im zwycięztwo, pozostawiając wiele słabszych i bezbronnych miejsc w mojej „poetyckiej twierdzy“.

**) Niewielka ilość tych utworów ukazała się wcześniej w druku, w pismach warszawskich.

To też czytelnik znajdzie tu utwory bardzo różnej wartości artystycznej, a jeżeli kto woli— bardzo odmiennego *braku wartości*... Uznałem porządek cyklów — według treści za dogodniejszy dla czytelnika od porządku chronologicznego. Wynikło przecie ztąd *pomięszanie utworów młodocianych z utworami wieku dojrzalszego*. Zamierzałem wprawdzie opatrzyć każdy utwór datą powstania, ponieważ data mogłaby niekiedy stanowić skromną obronę, a zestawienie różnych dat dałoby możność krytykowi ocenić, czy autor idzie w górę, czy... zsuwa się na dół po zboczach Parnasu. Ale porzuciłem ten zamiar, obawiając się posądzenia, że piszę sobie biografię! Słowem, przełożyłem nieład nad śmieszność, którą uważamy dziś za najgorszą z męczarni ziemskiego piekła.

Na tem kończę przedmowę, zwracając uwagę szanownych krytyków na to, że starałem się w niej być możliwie skromnym, jakkolwiek wiem dobrze, że wielkie niebezpieczeństwo tkwi w skromności. Skromność—jest to prawie pół-przyznanie się do winy. A czy uchodzi

tłomaczyć się z tego, że się wydaje książkę, skoro wydawanie własnych utworów jest do dzisiejszego dnia niezaprzeczonem prawem każdego obywatela.

LEO BELMONT.

Petersburg,
3|15 października 1899 r.

WSTĘPNE TONY.

Nie jestem poetą.

Nie, jam nie epik, nie współczesny epik,
Który z metafor okrada Homera,
Napełnia niemi swój mózgowy sklepik
I poematów magazyn otwiera.
Nie szukam natchnień na kartach herbarzy,
Nie mam u ramion wiatrakowych skrzydeł;
Nie robię pędzlem ulicznych malarzy
Pstrych i fałszywych życia malowideł;
Nie strugam z drzewa figur scyzorykiem...
Nie! ja nie jestem zupełnie epikiem!

Nie jestem także współczesnym lirykiem,
Jakich nam płodzi niwa literacka,
Co z rozczochranej poezyi okrzykiem,
Jako szarańcza, spadli nam znienacka.
Deklamatorskich nie używam szczudeł,
Nie mówię tonem wieszczów i proroków,

I do Parnasu nie przystawiam pudel,
Marząc, że głową dosięgnę obłoków;
Nie plotę górnych frazesów językiem!..
Nie, ja nie jestem współczesnym lirykiem!

Nie małpowałem również dekadentów,
Mgłą nie skrywałem moich myśli gwałtem,
Nie uwielbiałem rymarskich wykrętów,
Nie gniotłem treści wypieszczonym kształtem:
Mnogich barw brakło na mojej palecie
Do malowania dziur logicznych świetnie;
Mniemanych idej nie kryłem w sekrecie,
Zaczarowaną niby mając fletnię;
Nigdy nie byłem dźwięków akrobatą...
Więc dekadentem nie nazwą mnie za to.

Nie kładłem togi, głosząc abecadło,
I nie sypałem piorunów z rękawa;
Ani do głowy nigdy mi nie wpadło,
Że rymoróbstwo daje wyższe prawa.
Nie podwyższałem nigdy swego wzrostu,
Dlatego tylko, żem wziął pióro w rękę...
Czułem, myślałem, mówiłem poprostu,
Jak pająk przędzę, snując swą piosenkę...
A więc mi krytyk może krzyknąć „veto“!
No, to i dobrze... Nie jestem poetą!...

Szczerości!

Ja na papier rzucam śmiało
To, co tryska z głębin duszy,
Więc niejednem szorstkiem słowem
Delikatne zrażę uszy.

Ty, filistrze cnoty zimny,
Co moralność masz w kodeksie,
Mojej książki smutno szczerej
Proszę, nie kładź na indeksie.

Badaj codzień dno twej duszy,
Każdy odruch zapisz skrzętnie:
W kryształowem lustrze sumień
Każda twarz wygląda wstrętnie!

Jad wydobądź z szczelin serca
I bez maski wyjdź na scenę:

Niech piekielny przyznań kamień,
Leczy w każdym z nas gangrenę!

Więc za spowiedź z błędów uczuć
Ty pretensyi do mnie nie rość,
Bo niezmierna przepaść dzieli
Od cynizmu taką szczerość!

Precz ze szczerością!

Minęły stare czasy biczowań publicznych,
Gdy każdy szedł obcemu jawić nędzę oku:
Nie trzeba nam już krwi dziś z pleców anc-
[micznych,
Ran i kalectw i brudnych łachmanów widoku!
Niechaj w norach się kryje wszelka obrzy-
[dliwość:
W grzechu jedna jest cnota, gdy jest w nim
[wstydliwość.

Wyznanie — nie pokutą... Kto żąda spowiedzi,
Niech w niszy swojej duszy stawia konfesyonał,
Niech tam lampkę zapala i skruszony siedzi,
I niech mniema, że wielkich już rzeczy dokonał,
Przebaczenie nie schodzi w przyznania godzinie:
Słowo rodzi zgniliznę; zbawia czyn jedynie!

Szczere łzy twe są szczersze, gdy w ciszy
[ukryte;
Nie potrzeba ich światu; dawaj śmiech mu
[szczery!
Przepaskami zakrywaj rany jadowite,
Nie zarażaj w około życia atmosfery.
Ach, ze złem się tak łatwo oswajają oczy!
Przez przykład, przez ciekawość, świat się na
[dół toczy.

Dwoistość.

Dwie półkule mam mózgowe,
Więc dwojakie myśli mam;
Dwie komórki mam sercowe,
Więc dwojakie czucia znam.

Sprzecznych wierszy tu bez liku
Na stronicach książki masz:
Jeśli zechcesz, czytelniku,
Janusową badaj twarz.

Badajcie!

Każdą duszę zbadać warto,
Gdy się badać daje prawo:
Każda dusza jest mistrzynią,
Każda dusza jest ciekawą.
Chorobliwa zwyrodniałość
Światłym oczom wiele powie:
Boć przez kontrast ona uczy,
Jak wyglądać winno zdrowie!
Z pokrajanych martwych członków,
Pod skalpelem anatoma,
Maszynerya organizmu
Doskonale jest widoma.
Nie zakryjcie przeto oczu,
Gdy się badać wam pozwolę:
Ja w krytycznem prosektoryum
Kładę duszę mą na stole!

CYKL I.

NA NUTĘ WSPÓŁCZESNĄ.

Jakim sposobem?

Jakim sposobem w małem swem sercu
Ogromny ból świata zaszczepić?
Jakim sposobem drobną swą myślą
O przyszłość narodów zaczepić?
Jakim sposobem stać się ogniwem
W potężnym dziejowym łańcuchu
I oną falą, co w życia morzu
Dla innych powodem jest ruchu?
Jakim sposobem być drogowskazem
Na błędnych ludzkości manowcach?
Jakim sposobem moc i nadzieję
Rozbudzać w znużonych wędrowcach?
Jakim sposobem jeszcze po śmierci
Zielenią okrytym grobem
Świadczyć potomkom o życia wiośnie,—
Jakim sposobem?!

Młodzi.

Ach, mój humor
Wciąż dziwaczy:
Drga weselem
Schnie z rozpaczy.
To fontanna,
To kaskada,—
Raz się wznosi
Raz opada.

. . . .

Wam, nieszczęsne
Wieku dzieci,
Spadająca
Gwiazda świeci.
Waszych myśli,
Uczuć łoże,
Na wiatraka
Skrzydłach może!

Gdy się słońce
Zjawia w świecie,
Wstecz od słońca
Wędrujecie.
W świat tajemnic
Niezmierzony
Mkniecie z wichrem
Na przegony.

I dziewczyna
Z twarzą gładką
Dla was — tylko
Jest zagadką,
Albo cackiem
Do popsucia,
Albo duszą
Do zatrucia.

Młodych dotknął
Uwiąd stary:
Nie umieją
Czuć bez miary,
Z ust korali,
Z ócz błękitu,
Wypić szczęście
Bez przesytu;

Jasne czoło
W niebo wznosić,

Przyrodzeniu
Hymny głosić;
W czułej bajce
Się zasłuchać,
I w poczciwy
Śmiech wybuchać;

Cudzym ludziom
Rzucić słowo,
Jakoś bratnio,
Jakoś zdrowo!

Nie po świecie
Myśl ich lata,
Lecz za świat, — i
Z poza świata.
Z działalnością
Swą przemądrą,
Nie trafiają
W prawdy jądro.

Własne szczęście
Pragną burzyć,
Nie potrafią
Życia użyć.
Miast spokoju
Szukać w sobie,

Chcą go znaleźć
W ciemnym grobie!...

. . . .

Liść pożółkły
Spadł z szelestem...
Twoim bratem,
Listku, jestem!

Do przyjaciół.

Młodych lat przyjaciele!... pamiętne-ż wam [jeszcze
Na rozmowach gorących spędzane wieczory,
O zagadkach natury nieskończone spory,
O przyszłem szczęściu ludów proroczenia [wieszcze?

Czy pamiętne Wam marzeń ognistych wybuchy
I pioruny, rzucane w maleńkim pokoju
Na wszystko, co miernego bywało pokroju,
Co małością raziło niespętane duchy?

Pamiętacie, jak wielka życia tajemnica
W naszych sercach budziła harmonijne drżenie?
Burzę słów przerywało pochmurne milczenie,
I naprzemian nam bladły, lub kraśniały lica.

Wszelki brud naokoło znaczyliśmy piętnem,
Marzyliśmy o świata i ludzi poprawie;
O miłości, przyjaźni, o pracy i sławie
Mówiliśmy z uczuciem młodości namiętnem.

Nieraz gwiazdy już gasły na niebieskim szlaku,
Nowy świt już rozjaśniał kędyś niebo wscho-
[dnie:
Snu nie było; — wraz ruszyć pragnęliśmy
[zgodnie
Na zdobycie przyszłości w bojowym orszaku.

Pełne myśli i uczuć lenistwo w swe sidła
Chwytało nas, nurzając w marzenia obłędzie;
A ta młodość, genialna w swojej krwi rozpędzie,
Błogosławiąc, nad nami roztaczała skrzydła.

A dziś!... czy dobra tryumf już błysnął na
[świecie?
Rozwikłały-ż się wszystkie ponure zagadki?—
Że tak dziwnie nas życia zmieniły wypadki?
Że tak wszystko w niepamięć puścíliśmy przecie!

Gdzież Wy dziś, przyjaciele?... Ach, tamten
[przy żonie
Spokojnym snem filistra całe noce chrapie:

Ten marzy o karyerze; ów w głowę się
[drapie,
Chcąc zmylić wierzycieli natrętne pogonie.

Innych bieda złamała przemocy swej tamą,
Inni się uwikłali śród rozpusty sideł,...
Lecz młodości, nie zwijaj uroczych swych
[skrzydeł
I nowe pokolenia odurzaj tak samo!

*
* *

Miłe dzisiejszy czas
Wydał na świat pokolenie,—
Serca chłodne jak głaz,
Jak trzcina giętkie sumienie.
Czucie przegryzła myśl
I ten nasz dowcip kolący:
W dobrem równie, jak w złem,
Brak namiętności gorącej!
Śmiejąc się, robim błąd,
Bezczelne nosimy czoła,
Zda się, i straszny sąd
Grozy w nas zbudzić nie zdoła!

Dwie waryjacyje na odwieczny temat.

A) W lesie—w południe.

Na widok bladych, trupich lic
I świeżych mogił swych współbraci,—
Człowiek blednieje, milknie, drży,
Naraz odwagę całą traci!...
Potrzeba umieć tak, jak liść,
Zawsze z nadziei barwą świeżą,
Spoglądać w niebo, choć u stóp
Wróżebne żółte listki leżą.
I choćby mógł cię każdy grób
Zaczepić głosem: „Czy pamiętasz,
Że będziesz także leżał tu?!"
Tem ci odważniej krocz przez cmentarz!
Bo zanim spadnie, nawet liść
Zieloną barwą wciąż się śmieje;
Dopóki możesz naprzód iść,
Dopóty w sercu miej nadzieję!

B) W domu—wieczorem.

Wiosenną wonią twoich rad
Nie zbawisz ducha przed zatruciem;
To, co słabością w człeku zwiesz,
To jest w nim myślą i uczuciem.
Lecz nawet twój zielony liść,
Z całem bogactwem zadowoleń,
Potrafi znosić tylko śmierć
Dawno zamarłych już pokoleń...
Bo gdy jesienią jeden brat
Z żałobnym szmerem, żółty spada,
To za nim wkrótce idzie w ślad
Skurczona, drżąca też gromada...
A więc nie może patrzeć człek,
Jak przy nim życia kwiat więdnieje...
Dopóki serce ma i myśl,
Jakże zachować ma nadzieję?!

Pieśń o wietrze.

O, gdybym miał wiatru potęgę i tchnienie,
Wnet życia ja zmieniłbym tło:
Rozrzucałbym wszędy miłości nasienie,
Z korzeniem wyrywałbym zło.
I góry przesądów obalałbym w drodze,—
Wzrok łotrom zasypałby kurz,—
I harde te dęby uginałbym srodze,
I pieściłbym listki tych róż.
I szlochałbym z wierzbą nad wieszcza mogiłą,
Toń morską skrzydłami bym bił,
I głazy bym wstrząsał nadaną mi siłą
I groźnie w pomroce bym wył;
Kołysałbym do snu zgrzybiałe topole,
Z listkami akacyi się śmiał,
I dzwoniłbym dumką, wybiegłszy na pole,—
O, gdybym moc wiatru ja miał!

Czy wolno?

Machnąć ręką na walkę stuleci mozolną,
Zdać się na łaskę fali, z rąk puściwszy wiosło,
I ze sceptycznych drwinek uczynić rzemiosło,
I sennem wodzić okiem po świecie — czy
[wolno?
Czy wolno mrozić sercem jak wystygłą lawą,
Myśl przemienić w łamańców logicznych
[narzędzie,—
Każdy woli wysiłek wstrzymywać w rozpę-
[dzie,—
Czy wolno? czy człowiek ma do tego prawo?
Wszakże jeśli się wsłuchać — to dźwięczy
[dokoła
Jeden jęk nieprzerwany twych braci nędzarzy;
Jeśli wpatrzeć się — wszędy strugi łez na
[twarzy
I gruby pot się widzi, który zrasza czoła...

A przecież drwić nie można z tych dwóch
[świętych rzeczy:
Z krwawego bliźnich potu, z gorzkiej łzy
[niedoli,
I nie próbować ulżyć wszystkiemu, co boli,
I rany tem rozdrażniać, że się uldze przeczy!
Pójdź do wielkich pracowni i obacz, jak ludzie
Mozolą się, by tobie oszczędzić złej doli,
Gdy ty noce przepędzasz w rozkoszach swa-
[woli,
Albo dni całe trawisz w bezczynnej swej
[nudzie:
Idź pod fabryk ogromne, ponure sklepienie,
Gdzie świszczą setki pasów i zgrzytają koła,
Spójrz na ręce stwardniałe, na spotniałe czoła:
Zapłoń rumieńcem wstydu i obudź sumienie.
A jeśli się po twych oczach jako cień prze-
[śliźnie
Ten widok, jeśli zbędziesz go uwagą drwiącą,
To powiem, żeś jest prochem, ześ trumną
[chodzącą,
A myśl twa jest robakiem na serca zgniliznie!

Nie mów...

Nie mów, że niema serca na świecie,
Bo ono właśnie było tą kartą,
Na którą wszystko niegdyś stawiałem,
Przez co mnie z wszystkich uczuć obdarto!
Ale to serce zamrzeć nie umie,
Nawet i w głębszej niż ta niedoli;
Odnajdziesz serce w piersi u ludzi
Za jej dotknięciem, po tem... że boli.

Nie mów, że niema honoru w świecie,
Bo on mi zawsze był tą przyczyną,
Dla której czystą wodę pijałem,
Gdy mogłem pijać szampańskie wino.
Poszukaj dobrze, często go znajdziesz
Złączonym z większą, niż ta niedolą,—
Gdzie w ustach niemoc głodu obaczysz:
Ludzi, co umrzeć, niż żebrać wolą.

Nie mów że niema myśli na świecie,
Była nią dusza moja bogata,
Przez co słynęłem pomiędzy ludźmi
Za kawał głupca, albo waryjata.
Znajdziesz ją w naszym i w przeszłych wiekach,
Przy wiele głębszej niż ta niedoli:
Wczoraj na stosie stała męczeńskim,
Dziś — kona często w głuchej niewoli!

Analiza.

Ach, ta myśl! ach, zbójecka ta myśl!
W każdą duszy szczelinę się wgryza,—
Choć najgłębszy ogarnia mnie szał,
Czuję ją — ona tuż! — analiza!

Często miłość, lub boleść, lub gniew,
Gorącemi strofami ja kreślę,—
Przecie własny nie wzrusza mnie śpiew:
Nawet sercem, ach, sercem ja myślę!

Nad księgą pieśni.

Czas z tobą płynie mi wartko:
Pójdź, mała książko, do ręki:
Przewracam kartkę za kartką,
Cudnemi pojąc się dźwięki.

Z tej strofki uśmiech czarowny
Odbiciem z oczu mych tryska,
A w onej ból gra wymowny,
Co łzy mi z oczu wyciska.

Radość tu błyszczy tak szczerze,
Jak tafla wód zwierciadlana;
Cierpienie zda się tak świeże,
Jak róża świeżo zerwana.

Ot, gniewu paląca zwrotka —
Wciąż jeszcze trafia w nikczemność,
A piosnka miłości słodka
Jeszcze obudza wzajemność.

A ten, co śmiał się i szlochał
I snuł swoją piosnkę sławną,
Co nienawidził i kochał,
Ten śpi już w ziemi tak dawno!

Bieleją kości, bieleją,
Robactwo igra na stypie
I deski trumny wietrzeją
I proch w ciemności się sypie.

I czaszka zęby wyszczerza
I próżne oczy rozwiera;
Lecz serce i dziś uderza
I w księdze tej — nie umiera.

O, niechaj danem mi będzie,
Gdy zejdę w ziemi głębiny
Bym pieśnią moją wywołał
Łzę jedną — uśmiech jedyny!

Epoka.

Ćmi mi oczy zadziwione
Świetny blask epoki naszej,
Gorączkowy pośpiech wieku
Niemal nerwy moje straszy.

Pośród wszystkich dziedzin życia
Nowe hasła brzmią rozgłośnie;
Zastęp wiedzy pracowników,
Jak po deszczu grzyby — rośnie.

Śród milczących puszcz odwiecznych
Brzmi zwycięzki huk topora;
I kominów las powstaje
Tam, gdzie nic nie było wczora.

Słychać wszędy warkot maszyn,
I rozwiane w dumne wstęgi
Dymy fabryk się unoszą,
Zaciemniając nieb okręgi.

Zapas bogactw pysznie wzrasta
Po pod rąk bezmierną rzeszą;
I natury ślepe siły
W jarzmo ludzkich usług spieszą.
Niezliczoną moc ideek
Światłe mózgi płodzą co dnia;
I brak głupców doskonałych
Mógłby zdziwić aż przechodnia!
W milion piersi swe iskierki
Śle poezyi ogień święty,
Więc na każdym kroku spotkasz
Talenciki i talenty.
Tylko brak tych wielkich ludzi,
Co jak słońce ziemi świecą,
I tych wielkich idej, które
W bezmiar jako gwiazdy lecą...
I na świetnej kanwie czasu
Rwie się ciągle złota przędza,
Bo swój haft ponury, ciemny
Tka, jak dawniej, stara nędza!

*
* *

Myślałem, że będę szczery,
Że świat zuchwalstwem swem zgnębię,
Że z mocą jasno opowiem,
Co kryją duszy mej głębie.

Ale mnie niemoc zwyczajna—
Wstrzymała w owym zapędzie...
Kłamcy! spokojnie więc śpijcie:
I u mnie maska jest wszędzie!

A wy, którzy nagą duszę
Chcieliście w bólu oglądać,
Z mojej słabości rachunku
Nie chciejcie odemnie żądać!

Wiedzcie, że łzy miałem w oczach,
Gdym patrzył w duszy toń zdradną;

Znaleźć nie mogłem odwagi,
By zstąpić głębiej, aż na dno...

Nad własnej duszy przepaścią
Schylony, jak u mogiły,
Przymknąłem strwożone oczy—
Bo patrzeć było nad siły!

Wy, co na trupy gnijące
Świeże fijołki kładziecie,—
Podobnież w dusz swych przepaście
Złudzenia sypnijcie kwiecie!

CYKL II.

NA ŁONIE NATURY.

Wąwóz.

Czy to wąwóz, czy to cmentarz liści,
Co u moich tu się ciągnie stóp?
Widzę miljon zeschłych żółtych trupów,
Stu pokoleń widzę wspólny grób!

Ciał głęboki, zwilgotniały pokład:
Zmiótł je w dół ten grabarz — wiatru wiew...
Niegdyś wszystko to zielonem było,—
Powiewało na wierzchołkach drzew!

Z drzewa złudzeń rozczarowań jesień
Zrywa wiary i miłości liść,—
Zwiędły gdzieś się na dnie serca skupia...
Dość porównań!!...
Trzeba naprzód iść!

Wieczór nad morzem.

Czekałem, aż się zmierzchnie,
Aż cichy spłynie mrok:—
W stalową wód powierzchnię
Naówczas wbiłem wzrok.
    Szeroko igrał po niej
    Ruchomych zmarszczek tłum,
    A z głębi wzdętej toni
    Wybiegał głuchy szum...
I wiatr napływał zdala
Ze szmerem wiewnych szat;
I szła tam jedna fala
Za drugą falą w ślad...
    Spóźnione mewy z wrzaskiem
    Wracały do swych gniazd,
    A z góry złotym blaskiem
    Patrzyły oczy gwiazd.

Po wschodniem niebie zwolna
Obłoków płynął sznur;
Tam wichru gra swawolna
Stworzyła wyspę z chmur:—
I czerniał ląd ten w górze
I dziwnie zmieniał kształt,
A miesiąc, skryty w chmurze,
Z za złotych wschodził fałd...
I uśmiech słał w przestworza,
I bielił niebios strop,
I na płaszczyznę morza
Promieni rzucał snop:
Ztąd pas ze srebra tkany
Na drżących wodach drżał;
Szły z szumem doń bałwany,
Niepomne bliskich skał...
Szły z szumem doń bałwany,—
Ich żądzę zdradzał bieg,—
I śnieżną pierś ich z piany
Roztrącał skalny brzeg...
Ten wieczór, pełny w cuda,
Był jak czarowny sen!...
Ach, gdy cię trapi nuda,
Nad morze zdążaj hen!
Tam pójdź! Tam myśl się wzruszy,
Tęsknoty snując nić:
Tam z wielkiej świata duszy
Twą drobną możesz pić!

Tam w bezmiar myśl ulata,
Popadasz w zachwyt, w szał,—
I w wielką duszę świata
Twą drobną radbyś wlał!

---

*
* *

Swawolny księżyc przepaskę złotą
Rzucił na morze — i wnet
Każdziutka fala biegnie z ochotą
Przepaskę włożyć na grzbiet...

Bo w każdej fali jest nimfa płocha—
Próżna, jak każe jej płeć:
Więc każda fala w blaskach się kocha,
Przepaskę każda chce mieć.

Więc jedna drugą tłoczy w szeregu,
Odbiera jej złoty strój,
Traci go,— z pluskiem pęka u brzegu
I zawód ogłasza swój.

Podczas wiatru.

Wicher szumi, pędzi naprzód,
Drzew wysmukłych wstrząsa zgrają;
Lekkie liście drżą i szepczą
I gałęzie się schylają.
Więc w alei ogrodowej
Staję, patrzę odurzony:
Wszędzie liście ślą mi szepty,
Wszędzie drzewa ślą ukłony...
Ach, pochlebne szepty liści
I ukłony drzew tych z szykiem
Mówią mi, że tutaj w parku
Jestem wielkim dostojnikiem!

Na skałach „Kukshaven“.

Najbardziej wzrok uderza mój
Dziwnej przyrody tej wspaniałość,
Gdy widzę, jak ze stoku gór
Olbrzymia tryska skamieniałość.

Skał fantastycznych barwny kształt
Zachwyca duszę mą głęboko,
Gdy ostrych zrębów, stopni, fałd
Uczepia się zmięszane oko.

Ich niedostępna wabi pierś,
Chcę stopę oprzeć na ich szczycie,
Przez wązkich krętych ścieżek splot
Zakradam się od tyłu skrycie.

Lecz gdym już wszedł i spojrzał w dół,
Nie tryumf w moich oczach świta:

Uczuwam strach i w głowie zamęt,
Ma drżąca dłoń o zręby chwyta.

Ta niedostępność, srogość, hart
I fantastyczność ta szalona,
Przypominają zawsze mi
Olbrzymi duch Napoleona!

Na stoku „Bärstadt".

Tu na g ó r z e zamknięty,
Śród przeciwnych dwóch g ó r,
Z każdej strony pochyły
Zieloności mam mur!

Światło kładnie się na nich
Odcieniami wszech barw,
Wiatr na liściach ich igra,
Jak na strunach dwóch arf.

A naprzeciw dwie jeszcze,
Nakształt wzdętych dwóch fal;
Przez nie wzrok mój przebiega,
W niezmierzoną mknie dal.

Tam gdzie pól onych morze,
Jednostajne, bez dróg,

Aż po siny horyzont
Zakreśliło swój łuk...

A nademną rozpięty
Wisi nieba ten płat,
Jak parasol niebieski
Z obłokami miast łat.

Słodką ciszę przerywa
Śpiewny ptaków tych chór...
Jak rozkosznie na górze
Być zamkniętym śród gór!

———

Na szczycie „Bärstadt“.

Czyście z gór na rzekę spoglądali?
Ja na „Bärstadskopf“ dziś byłem z rana!...
Jak niebieska cudna tafla szklana,
Połyskuje w słońcu Ren z oddali...

Gładkość jego dziwna, niezrównana...
Nie masz tam ni jednej zmarszczki — fali...
Ren ukuty z polerownej stali!
Znikł fal napór, wód ruchliwa zmiana...

Tak choć ludzie wiecznie walkę toczą,
Mimo drobne ich wrzaski i szały,—
Historyka wywyższonym oczom.

Ukazuje się obraz wspaniały...
Więc w archiwach on grzebie ochoczo,
W ciszę dziejów pogrążony cały...

Przed burzą.

Przed samą tarczą słoneczną
Wraz się zbliżyły dwie chmury:
To niebo mruży swe oko
I gniewnie spogląda z góry.
Chłód przewiał... cień padł na ziemię,
Zaszumiał wiatr uroczyście,
Zadrżały wszystkie gałęzie,
I z drzew sypnęły się liście...
Zagrzmiało głucho, i echa
Po nieb rozbiegły się dali;
Jaskółka nizko przelata
I skrzydła swe macza w fali...
I grube krople deszczowe
Upadły rzadko a skoro:
Od plam zaczernił się piasek
I drży od kręgów jezioro...

W parku Jastrzębskim.

Pyszna ustroń, samotna i cicha!
Patrzę wkoło, poglądam do góry;
Jam zamknięty tutaj nakształt mnicha
W tym zielonym klasztorze natury.
Drzew szeregi wokoło, jak mury,
Swoje czarne rozpostarły cienie,
A nademną zawisło u góry
Z gęstych liści splecione sklepienie.
Jak przez celi klasztornej okienka,
Tak przez liście się słońce przekrada;
Tu i owdzie struga światła cienka
Białą plamą na ziemię upada.
Muchy z brzękiem gonią się dokoła,
Rój komarów na słońcu połyska,
Słowik w gąszczu swą samiczkę woła,
Jego srebrną piosnkę słyszę zblizka

Pst... szmer jakiś, — coś drzewem wstrząsnęło,
Gałęź chwieje się w prawo i w lewo,
Coś żółtego śród liści mignęło:
To wiewiórka drapie się na drzewo!...

———

Rzeka.

Wiatr powiał z morza... I rzeka naraz
W barwach i formach sie mieni:
Wzburzył się falek błękitny motłoch
Na całej wodnej przestrzeni.

Jedna tam fala drugą potrąca,
Jedna wyrasta nad drugą,
Tamta opada, a ta się wzbija,
By opaść też niezadługo.

Milion ruchomych zmarszczek na rzece
Wciąż w nowe wchodzi układy.—
I gwar ogromny rośnie a rośnie,
Jak gwar złowrogiej narady.

Czyż nie tak samo i ludzka rzeka,
Ruszona potężnym gniewem,
Burzy się w groźnym swym niepokoju
Pod świeżych idej powiewem?!

Jesień.

Dość już szałów! dość uniesień!
Oto idzie późna jesień!
Chłodnym wiatru stąpa krokiem...
Oto idzie... już jest bliska...
Przez zielone liście błyska
Krwawem, rdzawem, żółtem okiem!
Wkrótce nago staną drzewa,
Ptak ostatnią piosnkę śpiewa...
Idzie, idzie późna jesień...
Dość już szałów! dość uniesień!

Do jesieni. (Naśladowane).

Jesieni, smętna poro, co czarujesz oczy,
Twe wdzięki pożegnalne są dla mnie pieszczotą!
Lubię: widok natury więdnącej uroczy,
Lubię lasy, odziane w szkarłaty i złoto.

Niezliczonych uroków przyroda ma środki,
Nawet więdnąc, jest jeszcze jak zawsze wspa-
[niała:
Sądzisz: to tylko z wiosny, tej królewny-
[trzpiotki,
Wyrosła z czasem jesień, królowa dojrzała!

*
* *

Wieczór blade księżycowe oko
Zasnuł mgły ociężałą powieką,
Wiatr śród ciszy zajęczał głęboko
I z westchnieniem uleciał daleko...
Już śpi wszystko snem głuchym w tej porze;
Już okryte cieniami nocnemi
Góry cicho przypadły do ziemi
I śpią...
Tylko szepty miłosne topoli,
Co się z dębem nagadać dowoli,
Gałązkami splątana, nie może,—
Wciąż drżą...

Z wycieczki do „Kiedritsch“.

—

Co za gęsty bór,—
Nieprzejrzany bór!
Czemu drzewne te pnie tak się tłoczą?!
Czy to dąb ten w pośrodku
Obwołał ten zbór,
Że doń drzewa się zbiegły ochoczo?...

Słychać liści ich szum,
Tajemniczy ten szum—
Widać jakiejś niedobrej narady...
Serce w piersi mi drży,
Chłód uczuwam we krwi...
Coraz bardziej obawiam się zdrady...

Przyspieszyłem więc krok...
Czy naprawdę już mrok?!
Wszędy cienie już kładną się srogie...

Słyszę szepty, chichoty,-
Nie mam śmiać się ochoty,—
Ach, do domu ja trafić nie mogę!...
Toż był cel tej narady?—
Domyślałem się zdrady:
Te złe drzewa zakryły mi drogę!...

. . . .

*
* *

W górski las z ukosa wpadły
Słonecznego pęki srebra:
Stoją drzewa prążkowane,
Jak tygrysy, albo zebra...

Każdy pień swym długim cieniem
Legł i ziemię pocałował,
W jasne, ciemne pasy trawę
Efekt światła pomalował...

Na wzgórzach.

Niebo — lazur czysty
Bez plamek — obłoków,
Słońce — białe źródło
Świetlanych potoków...
W polu tak gorąco,
Że aż parzy człeka;
Ja drwię sobie z tego;
Niech słońce dopieka!
Tu na skraju lasu
Leżę sobie w cieniu,
Pod gałęźmi sosen
Piszę wiersz w natchnieniu...
Widzę pól dywany,
Żółte i zielone,
Tu biegnące w górę,
Tam na dół zwieszone.

Myślę sobie: Pluton
Nie był bity w ciemię,
Skoro tak dowcipnie
Powyginał ziemię!...

*
* *

Patrzę z zielonej wyżyny
Na białych domeczków sznur
W głębi zielonej doliny,
Na stokach zielonych gór...
U stóp mam kobierzec wiosny
Z świetlisto-zielonych łąk
A ciemno-zielone sosny
Girlandą wiją się wkrąg
Z gęstwiny w niebios szafiry
Modlitwy śle ptasząt chór,
A delikatne zefiry
Łagodnie wieją śród gór...
Wszystko tu ciszą tchnie miłą,
Jakgdyby burz nadszedł kres,
Jakgdyby trosk tu nie było,
Nie było gniewu ni łez...

Taki tu spokój, pogoda
Jakgdyby w szczęśliwym śnie,—
Natura wieczyście młoda
Miłością bytu tu tchnie.
Wzbija się słonko w lazury
I rzuca promieni snop:
Wesoło śmieją się góry
Błękitny śmieje się strop.
Idzie doliną uciecha
I śmieje się domków sznur—
I w słońcu już się uśmiecha
Nawet poważny ten bór!...
Motylki wszczęły radośnie
Śród polnych kwiatków swój tan...
. . . .
Ktoś dłoń przykłada miłośnie
Do starych mej duszy ran.
Już myśl zagadek nie szuka
Topnieje i ból i złość...
Pogoda do serca puka—
Ten nader rzadki mój gość!...

CYKL III.

AKWARELE i SZKICE WĘGLEM.

Sawantka.

W swym cienistym buduarze,
Od światowych zdala burz,
Ona siadła na kozetce,
A ja przy niej siadłem tuż...

Na różanych tam stoliczkach
Widniał wielki stos dzienników,
A za szybą biblioteczną
Wyzłoconych rząd klasyków.

Przy okienku zgrabne biurko
I papieru na niem moc;
Tu poważne artykuły
Pisywano dzień i noc!

A sawantka ona młoda
Miała główkę fryzowaną
I na piersi wpiętą różę,
Żółtą różę herbacianą...

Jako krytyk siadłem zbliska,
Wytężywszy mocno słuch,
A przedemną defilował
Ten zaprawdę świetny duch,
I głosikiem perełkowym
Wysypywał wiadomości,
Bez zająknięć przebiegając
Wszystkie wieki uczoności.
I wyrzucał szereg nazwisk,
Jakie tylko kto z was chce:
Wolter, Spencer, Galileusz,
Plato, Buckle i Kon-fu-tse...
Biedna myśl ma ledwie mogła
Śledzić owe wszystkie zmiany,—
Tak nieznośnie mi przeszkadzał...
Zapach róży herbacianej!
— „O, pan, widzę, nie uważasz?...“
— „Alež, pani!... Boże broń!
Tylko... tylko ja tak lubię
Herbacianej róży woń!...
Gdybym mógł choć raz powąchać!
To nawyknień dawnych szczątek!...
— „Bardzo proszę, ale prędzej,
Bo utracę myśli wątek.“
Więc schyliłem do jej piersi,
Rozmarzoną moją skroń,—
I wciągnąłem z całej siły
Herbacianej róży woń!

Lecz ta róża herbaciana
Wnet jej dała temat nowy;
Z assocyjacyi Chin z herbatą
Dyskurs wysnuł się gotowy:

Chiny... Persyja... Zoroaster...
Duch światłości... cieniów duch,
Potem Indyje, Ramajana,
Neo-buddaizmu ruch,

Schopenhauer, Leopardi,
Goethe, Hoffmann, Hoffmanowa,
George Sand, Brandes, Taine
[i Bourget,
Wreszcie „Dama Kameliowa"...

A mówiła wszystko żywo,
Opuszczając, wznosząc dłoń,—
A ja czułem wciąż drażniącą
Herbacianej róży woń...

I bawiłem wzrok swywolny
Onej róży kołysaniem,
Co wznosiła się, spadała,
Wraz z jej piersi oddychaniem.

Potok słów mi dźwięczał w uchu,
Rozumiałem tylko wpół:
Zapach róży herbacianej,
Tak uwagę moją skuł!

Pochylałem tylko głowę,
Jakbym był odurzon trunkiem,

I prelekcyją zachwycony,
Pożegnałem ją z szacunkiem.
I uniosłem z tej rozmowy
Rozpaloną mocno skroń
I z przypiętej na jej piersi
Herbacianej róży woń!

U c z u c i o w a.

Miała charakter słodki, anielski,—
Duszyczka wzniosła;
Skaleczonemu plaster angielski
Wnet niosła...
Litości słówka i do robaczka
Umiała szeptać,
Szła tak ostrożnie, aby biedaczka
Nie zdeptać...
Nie mogła spędzić nawet komara,
Gdy pił z jej rączki,
Znosząc cierpliwie, jako ofiara,
Bolączki...
Serce jej rozpacz okropna zdjęła
Po stracie kotki;
Dnia tego nawet do ust nie wzięła
Szarlotki.

Gdy zdechł kanarek, pragnęła przecie
Żałobę nosić,
Nekrolog szumny w jakiejś gazecie
Ogłosić...
Nad utopioną w rosole muszką
Rzewnie płakała,—
Tylko me serce drobną swą nóżką
Zdeptała!...

Asceta.

(Z ulic średniowiecznych).

Krzyż kurczowo trzyma w dłoni,
Stojąc w kącie na uboczu,
Sine pręgi ma na skroni,
Wywrócone białka oczu.

Policzkowe kości sterczą
Na zapadłej bladej twarzy;
A w źrenicach wpół zakrytych
Dziwny płomień wciąż się żarzy.

Wysuszone, drżące wargi
Powtarzają szeptem modły,
A z wychudłych bark się zwiesza
Wyszarzany płaszcz i podły.

Kiedy w przejściu śmiech przyjemny
Młoda rzuca mu kobieta
Dreszcz nim wstrząsa potajemny,—
To asceta!

Nauczyciel.

Kochała go... bo młodym był jak ona,
Bo młodszym był... od jej starego męża,
Kochała go, — a miłość, ta szalona!
Rozwagę, wstyd, — ha, wszystko przezwycięża:
Nie wstrzyma jej już widok własnych dzieci!—
Nieszczęsna szła w Amora zdradne sieci...

On kochał też... na rendez-vous przychodził,
Lecz honor miał i wiele wraz rozsądku...
Całował ją i mądrze jej dowodził,
Że tkwiło złe w miłości ich zaczątku,
Że uciech szał przepada, związek rwie się,
I troskę, ból — obojgu w końcu niesie...

Dowodził jej, że mogą uledz wkrótce,
Że zerwać czas, z sumieniem jeszcze czystem,

Czerpała moc w szlachetnych słów pobudce,
Wielbiła ten teoryj jego system,—
Dla lekcyj tych z spuszczoną szła doń głową,
Aż wpadli raz... w metodę poglądową!—

Nie-kobieciarz.

Dowodził im głęboko a dosadnie,
Jak marną jest zmysłowa rozkosz wszelka,
Jak instykt nas — (natury mądrość wielka!)—
Podchodzi zdradnie...
Dowodził im: „kobieta jest otchłanią,
Gdzie męzka moc i ducha jasność gaśnie..."
Lecz urwał tu... Dziewczyna przeszła właśnie,—
Więc pobiegł za nią!

Sonecista.

Że warzy rymy, jak kucharka,
Że kleci wierszy w mig czternaście,—
Sądzi, że przeto w wieszczów kaście
Błyszczy tak świetnie, jak Petrarka!

Krytykom z miną niedowiarka
Powiada: „milczcie, gwiazd nie gaście!“
I w poetyckim grzęźnie chwaście,
Choć nań rozsądek zdrowy sarka.

Niechaj się sprawdza wartość monet
Tylko przez samą dźwięku czystość;
Zabrania przecie oczywistość

Stosować myśl tę do canzonet:
Gdy w treści ciemność tkwi lub mglistość,
Najprawidłowszy zrazi sonet.

W podrzędnej restauracyi.

Mętny dym z papierosów zapełnia traktyernię,
Przesłaniając nikczemne, ordynarne twarze,
Którym gaz chorobliwą żółtością lśnić każe;—
Drapie w gardle i oddech utrudnia niezmiernie.
Na podłodze opałki i śmiecie i błoto,
Zniesione tu z ulicy przez podeszwy skrzętne;
Niewyspane dziewczęta kręcą się niechętne,
Wiodąc tłuste rozmowy z pijącą hołotą.
Brzęczą szklanki, zgorzkniałem przepełnione [piwem;
Słychać wkoło gwar głosów stłumiony i zbity;
A od czasu do czasu jakiś głos podpity
Ponad gwar ten się wzniesie grubiaństwem krzykliwem.

W fortepianu starego pożółkłe klawisze
Chudy grajek uderza ze wściekłym uporem,
W tem miejscu ja się kryję z moim złym
[humorem
I na nędznym tym świstku nędzny wiersz ten
[piszę.

Mój wizerunek.

Moją matką — atramentu flaszka,
Moim ojcem — obgryzione pióro,
Moja dusza to pstra fatałaszka,
A zajęcza skóra — moją skórą,
Mój kierunek — chorągiewką na dachu,
Mój charakter — łachmaniasta szata,
Me bogactwa — w urojonym gmachu,
A zajęciem mem — próżniacze lata.
Me przymioty — nędzny pył i błoto,
Które przylgną pośród życia drogi,
Nieszkodliwość — jedną moją cnotą,
A kaprysy — oto moje bogi!
Moim darem — sztuka rymoklecka,
Blask mej myśli — to jak z łoju świeca,
Me zamiary — to zachcenia dziecka
Szybki z okna, lub kafelka z pieca,
Moja pamięć — to dziurawa kieszeń,

Upór w kłótni — stałość ma żelazna,
Długi język jednem z mych pocieszeń
I mój dowcip — dźwięczny kołpak błazna!
Moja wiedza — to zlizany polor
Z gładkiej frazy lub z tytułów książek,
Wyobraźnia — wypłowiały kolor
Paru starych i podartych wstążek.
Moją wiarą — codzień coś innego,
Mą ideą — co się ściągnąć uda,
Głupi humor — dobrym mym kolegą,
A kochanką — chyba wieczna nuda!
Opiekunką mą — ambicyja drobna,
Która drażni duszę mą bez przerwy,
Kwaśne jęki — to ma pieśń żałobna,
Instrumentem — rozstrojone nerwy!
A nędzarze — oto moi równi,
Moją drogą — droga tłumów bita,
Moim wrogiem — to ja sam najgłówniej,
A mym celem — tylko śmierć — i kwita!

U r o c z a.

1.

Jakiż to dziwnie piękny ludożerca,
Który dziewczęcych swych oczu błękitem
Z niezamąconym niczem apetytem,
Niby ostrygi połknie drżące serca,
I nie poczuwszy się nawet do grzechu,
Usta obetrze serwetą uśmiechu.

2.

Przeciw pessymistów gwardyi,
Co się w świecie tak rozpiera,
(Obacz Hartman, Leopardi,
Schoppenhauer et cetera),
Co przez czarne swe teoryje
Zamazuje Stwórcy gloryję,—

Wydał Pan Bóg — (coś Go pchnęło
W bój z tych skarg i przekleństw grzechem)—
Jedno dzieło — arcydzieło
Z koralowych ust uśmiechem:
I argument ten przedziwny
Światopogląd zbił przeciwny.

—

3.

Piosenko dźwięcz, piosenko leć,
Hołd pięknu nieś w ofierze:
Różowy marmur — twoja płeć
Maliny owoc — usta świeże...

Jak wdzięcznie lśni lilijowa skroń
Popod promiennych włosów zwojem...
A oczy twe — lazurów toń:
Niebo wygląda okiem twojem.

Gdy spojrzysz — wraz światłości moc
Rozkoszy źródłem w sercach bije;
Odwrócisz się — i czarna noc
Żałobną krepą serca kryje.

A uśmiech Twój,—ach, któż to zgadł,—
Czy balsam, który rany goi?

Czy może raczej słodki jad,
Co niebezpieczne figle broi?

O tobie brzmiącym strunom arf
Akompaniuję temi słowy:
„Murilla obraz — blaskiem barw,
„Świeżością — wdzięczny dzień majowy.“

Cnotliwa.

W suterynach, dokąd zajrzał z rzadka
Promień słońca złoty,
Szyła suknie, głodem przymierała
I strzegła swej cnoty.

Nikt się nigdy nie zlitował doli
Nieszczęsnej sieroty,
Nikt nie widział łez walczącej z głodem
Broniącej swej cnoty...

Owszem... był ktoś, co chciał z drogi [szwaczki
Usunąć kłopoty,—
Panicz pewien (na parterze mieszkał)
Miał serca przymioty...

Nieraz zmierzchem, spotkawszy ją
[w bramie,
Szeptał do sieroty,
Że do zmiany jej losu potrzeba
Jedynie ochoty...

„W suterynach szyjąc suknie, zyska
„Li tylko suchoty,
„A u niego w gniazdku czeka szwaczkę
„Promień szczęścia złoty;

„Może powóz posiadać, brylanty,—
„Dość tylko ochoty!“
Bladą twarz jej stroiły rumieńce
Obrażonej cnoty,—

I umarła z głodu... Żyć widocznie
Nie miała ochoty!...
Żyła dosyć... zszyła wiele sukien
I ustrzegła cnoty...

Równo z świtem wyszedł wóz samotny
Szpitalnemi wroty...
Na ubogą trumnę szwaczki padał
Promień słońca złoty.

Taczka.

Od wieczora do ranka
Przy robocie swej trwasz,
I mizerną tę taczkę
Obowiązków swych pchasz.

Kruszysz duszę w kawałki,
Jak rozkaże ci traf,
I cząsteczki jej wrzucasz
Do najgłupszej z twych spraw.

Na zajęcie się rzucasz
Jako mucha na lep.
A jedynym twym celem
Jest powszedni twój chleb.

O krok dalej pchnąć taczkę—
Oto marzeń twych szczyt;
I szeregiem drobiazgów
Stał się cały twój byt.

Myśl usycha w twym mózgu,
Ziębnie w żyłach twych krew,
Nie wiesz więcej, co radość,
Ani nawet, co gniew.
A już tonem protestu
Nie brzmi nawet twój głos,
Bo pokorny, jak cielę,
Znosisz mierny swój los.
Po za dniem swym dzisiejszym
Nie dostrzegasz już nic—
Tylko troska wygląda
Mimowoli z twych lic!
Jako tkacka maszyna
Snujesz dni swoich nić...
Lecz człowiekiem oddawna
Zaprzestałeś już być!

*
* *

Więc gdy moment spoczynku
Został danym ci raz,
Przerażeniem jedynie
Zdjął cię wolny twój czas.
Tak się słaniasz, jakgdybyś
Wciąż w zaprzęgu swym był...
Szerzej piersią odetchnąć
Nie masz w sobie już sił.
Ani umiesz się rozśmiać,
Ni obejrzeć się w krąg,

Jakbyś drewna swej taczki
Ciągle czuł koło rąk.
        Zapomniawszy oddawna
        Szerzej patrzeć na świat,
        Tyś przed próżnią swej myśli
        Pełen trwogi aż zbladł.
Co to jest?! Co ma znaczyć
Rozpaczliwy twój gest?
Za czem tak się oglądasz?
. . . .
Ha?... gdzie taczka twa jest?!

Anielka.

(Z „Bez Dogmatu" Sienkiewicza).

Ta z polskich kobiet jest najbardziej polska!
Anioł, kuszący, jak czart z góry Łysej...
Na ludzką duszę i na ludzkie rysy
Przeobrażona to arfa Eolska...
Cała jest jakby z jednej bryły złota,
A tak cnotliwa, powolna dla męża,
Że jak płacz czasem aż w śmiech się napręża,
Tak... niemal w zbrodnię przechodzi jej cnota!
Na Kromickiego ołtarz... niepogański,
Jako ofiara, idzie białe... jagnię
I tylko smutkiem oczu mówić pragnie,
Rzuca z nich promień boleśnie-niebiański
Na Płoszowskiego, polskiego Hamleta,
Co wierci duszę własną nakształt kreta.
. . . .
Lecz chociaż drwią z niej zmysłowi szyderce,
Wdzięk jej na wieki zapada nam w serce.

CYKL IV.

NA STRUNACH ARFY.

Moc pieśni.

A ty sobie młot ten chwal,
Ten żelazny młot,
A ja będę piosnkę czcił
Co się zrywa w lot,
Co się z głębi serca rwie,
I w błękitną płynie dal,
Będę wiecznie sławił pieśń,
Gdy ty sławisz stal!...
Wiem, że twój żelazny młot
Wiele światu dał,
Wiem, że umie krzesać skry,
Ryjąc granit skał,
Że w budowie świetnych bogactw
Swój znamienny kładnął znak,
Że ludzkości pootwierał
On szeroki szlak,

Wiem, że schodził w głębie kopalń,
Śledził węgla, złota ślad,
Wiem, że winien jego darom
Wieczną wdzięczność świat...
A więc czczę twój młot żelazny,
Twój żelazny młot,
Siłę ręki twej poważam,
Twego czoła pot:
Niechaj bierze hołd odemnie
Twojej kuźni żar,—
Lecz ty też i wielb i pojmij
Wieczny pieśni czar!...
Nie jest wcale młodszą piosnka,
Niźli gładka stal,
Od jej pracy młodszym nie jest
Serc natchnionych żal;
Zawsze w przerwach dźwięków młota
Dźwięczał pieśni ton,
Dźwięczna nuta ogłaszała
Świetny młota plon,
Młot twój słuchał twojej ręki,—
Ale ręki moc,
Zawsze słabła, gdy znużenia
Nadchodziła noc;
I dopiero kiedy w serce
Pieśń rzucała blask,
Krzepła ręka i potężniej
Huczał młota trzask!...

W pieśń natchnioną, słodko-dźwięczną
Całą duszą wierz,
Bo potędze młota ona
Nie ustąpi też!
Boć kruszyła kamień w sercach,
Oczyszczała myśli z plam,
Na dno ludzkich serc schodziła,
Odkrywała złoto tam,
Rozświecała mrok rozpaczy
I apatyi toń, —
I na pierś zranioną kładła
Swoją miękką dłoń...
Nie wiem, czemby był bez pieśni
Twój żelazny młot, —
Czyby bez niej nie był klątwą
Ciężki czoła pot!!
Gdyby pieśni i spoczynku
Nie powiązał ślub,—
Czyż spoczynek by nie straszył,
Jak milczący grób!?
Czy pociągałby cię nawet
Ten szeroki tór, —
Gdyby pieśń nie grała krokom
Melodyjny wtór,
Gdyby dźwięk jej nie nadpływał
Zewsząd, z wszystkich stron,
Gdyby w dal tęskniące serca
Nie przywabiał on?...

Gdybyż jaki duch złowrogi
Ukradł naraz pieśń,
Gdyby struny arfy porwał
I zakopał w pleśń,
Nie wiem, czyby było warto
Wejść na życia próg,
Choćby wielkim głosem wołał
Twego młota huk!...

Oto treść modlitwy mojej,
Oto marzeń szczyt:
Niechaj pieśń mi czarodziejska
Wciąż się wplata w byt,
Niechaj zawsze przyjdzie koić
Mego serca lęk,
Każdą radość, każdą boleść,
Niech przetapia w dźwięk,
Niechaj idzie śladem za mną
Przez życiowy las,
Niechaj będzie mi pobudką,
I nagrodą wraz;
A gdy głowę mą utuli
Chłodna ziemi cieśń,
Niech nad grobem dźwięczy jeszcze
Harmonijna pieśń!

Do „Młodych".

(Pod wrażeniem Albumu współczesnych poetów polskich Jana Kasprowicza).

Śpiewajcie „młodzi!
Wasz dźwięczny śpiew
Ziębnącą ogrzewa krew..:
Wasz dźwięczny śpiew
Nad czarną glebą,
Śród trosk powszednich powodzi
Unosi w niebo...
Śpiewajcie młodzi!.,.

Śpiewajcie młodzi!
Bo wasza pieśń,
Co w mękach się rodzi,
Wasz krzyk, wasz ból,
Odziera pleśń
Z tych twardych ludzkich serc,—

I moc ma kul,
Gdy w mury twierdz
Potężne działo godzi...
Śpiewajcie młodzi!

Śpiewajcie młodzi!
Bo waszych snów zawierucha,
Bo wicher waszych słów,
Choć z rozpalonych zadął głów, —
Lecz znojne czoła chłodzi
I w one żagle dmucha,
Co niosą w dal,
Na idealnej łodzi,
Po grzbietach życiowych fal,
Aż ku przyszłości — ducha!
Śpiewajcie młodzi!

Śpiewajcie młodzi!
Choć który twardy łeb,
W swych myśli cieśni,
Zaprzecza pieśni,
Że ziarn pożywnych nie rodzi, —
Śpiewajcie młodzi!...

Bo nie wie tego kiep,
Że pieśń to także chleb,
Słoneczny chleb,

Którym się gardzić nie godzi!...
Bo chleb niebieski ów
Wiązanych dźwięcznie słów,
Choć ostry jest, jak nóż,—
Lecz koi tak, jak wprzód,
Straszliwy wieczny głód
Cierpiących serc i dusz...
Więc drwić zeń się nie godzi...
Śpiewajcie, młodzi!

---

*
* *

Cichy wieczór ponad ziemią
Ciemne skrzydła rozpiął już...
Zamknij, dziewczę, senne oczy,
Na mej piersi główkę złóż.
Płyną z łąk zefirów szmery
I z ogrodów wonie róż...
Złóż na piersi mojej główkę,
Swoje senne oczka zmruż...
Oto pora tkliwej zgody
Po epoce walk i burz;
Zamknij, dziewczę, senne oczy,
Na mej piersi główkę złóż...
Ja nad snem twym czuwać będę,
Jak bezsenny anioł-stróż...
Złóż na piersi mojej główkę,
Swoje senne oczka zmruż...

*
* *

Gdy serce pęka, — z szczelin
Wyrasta wspomnień kwiat,
Serdeczną krwią się żywi,
Wydaje z wonią jad...
Z rozkoszą dusza wciąga
Zabójczą kwiatu woń, —
A lica bledną... bledną,
Zapada trupio skroń...

———

*
* *

Szukałem serca po całym świecie,
I tu i tam —
Chciałem ja wyznać przed niem raz przecie,
Co w sercu mam:

Słodkie zaklęcia i słodsze skargi —
Tęsknoty znak...
Miłosnem słowem wówczas me wargi
Płonęły tak!

Szukałem serca dla tego słowa,
Obchodząc świat.
Drwinki i śmiechy, głupia obmowa —
Szły za mną w ślad.

Pierś mą w tułaczki tej poniewierce
Wyziębił chłód.

Znalazłem wreszcie szukane serce, —
Inny, jak wprzód!

Zeschłe me wargi się poruszyły —
Nie rzekłem nic...
Łzy tylko z oczu się potoczyły,
Spłynęły z lic...

---

*
*   *

Nie ożywia mnie wiosny czar,
Który ziemię ożywia na nowo;
Nie weseli mnie słońca żar,
Co weselej zabłysło nad głową.

Znałem inne wiosenne dni,
Kiedy w sercu kwitnęła mi wiosna,
Cudne oczy świeciły mi,
I dźwięczała piosenka miłosna.

Dzisiaj wiosna powrotem swym
Tylko żałość rozbudza w mej duszy;
O, rozwiały się ognie w dym, —
Czar wiosenny mnie więcej nie wzruszy!

Z wiosną silniej odczuwam brak
Owej pierwszej wiosennej miłości:

Wonie kwiatów, zieloność, ptak, —
Wszystko mówi o słodkiej przeszłości...

O, tak samo spogląda wzrok
Na wzniesioną znów z gruzów świątynię,
Kiedy bóstwo uciekło z niej,
Kiedy wiara na zawsze zaginie!

---

*
* *

Kocham motylki i tęcze,
Bo one fałszu nie kryją,
A między ludźmi, ja ręczę,
Co chwilę spotkasz się z żmiją.

Gdy tęcza igra na niebie,
Gdy się w błękitach zanurza,
Blaskami nie zwodzi ciebie,
W tym śmiechu nie skryta burza.

Zawsze się trzyma rygoru
Ta tęczy łukowa droga;
Wszakże to—słowo honoru
Dane Noemu przez Boga.

A ten motylek zdaleka
Tak wabi, latając zwolna,

Wszakżeż to Psyche u Greka —
Dusza niewinnie swawolna.

Kocham motylki i tęcze,
Bo one fałszu nie kryją,
A między ludźmi, ja ręczę,
Co chwilę spotkam się z żmiją!

---

*　　*)
*　*

Ja stoję wpatrzony w twą postać,
Jak w cudne nadziemskie zjawisko,
I chciałbym na wieki tak zostać
W tem miejscu... przy Tobie... tak blisko.
    Lecz kiedy wpatruję się w Ciebie,
    Gdy rękę mą z ręką twą splatam,
    Sam niewiem, czy stoję na miejscu,
    Czy w rajską dziedzinę ulatam:
Na skrzydłach twej duszy śnieżystych
Ma dusza się waży w zachwycie,
Śród blasku twych włosów złocistych,
Po oczu twych jasnym błękicie...
    I buja wraz z tobą wysoko,
    I leci gdzieś w sferę przestronną;

---

*) Jako motyw do niniejszego wiersza posłużyła ostatnia strofka, wyjęta z „Bez Dogmatu" Sienkiewicza.

A w koło... pod nami... nad nami...
Tak jasno... tak słodko... tak wonno!

. . . .

I niewiem, zkąd płyną te wonie,
Zkąd bije ta jasność promienna;
Wiem tylko, że pierś mą przepełnia
I błogość i świeżość wiosenna...
Ty idziesz... ja idę za Tobą,
Przecudne, nadziemskie zjawisko, —
Ty świat mój zabierasz ze sobą,
Więc muszę przy tobie być blisko!
Po żółtej ogrodu ścieżynce
Twe stopy się zlekka unoszą;
I myślę, że pod ich dotknięciem
Drży nawet ta ziemia rozkoszą, —
„I dziwię się tylko, że kwiaty
„Pod twemi stopami nie rosną,
„Ty złoty mój ptaku skrzydlaty,
„Ty raju, ty maju, ty wiosno!“

W godzinę ślubu. *)

Ty pierścionku na moim paluszku
Cóż w najbliższej przyszłości mi dasz?
Zkąd obawa ta w mojem serduszku,
Zkąd rumieniec ten bije na twarz?
    Przecież kocham go bardzo, serdecznie,
    Sama rzekłam: „to będzie mój mąż!"
    Przecie żyć z nim pragnęłabym wiecznie,
    Jednak boję się, boję się wciąż!
Miłość drży mi lękliwie w serduszku
I rumieniec oblewa mą twarz...
Ty pierścionku na moim paluszku,
Cóż w najbliższej przyszłości mi dasz?!

---

*) Za motyw do tego wiersza posłużył obraz niemieckiego malarza p. t.: „Du Ring an meinen Finger."

*
* *

Stałem pod brzozą płaczącą,
Przykryty listków jej cieniem,
„Kocham“ — szeptałem gorąco,
„Cierpię“ — mówiłem z westchnieniem.
Brzoza, to słysząc, litośnie
Swemi gałęźmi wzruszyła
I zaszemrała rozgłośnie,
Jakby mym skargom wtórzyła.
Sosna ten szmer podchwyciła
I z wiatru zrobiwszy posła,
Mój sekret brzydka plotkarka,
Zaraz dębowi poniosła.
Dąb stary słuchał uważnie,
Potem zaszumiał surowo,
I długo, smutnie, poważnie,
Liściastą potrząsał głową!

Dążenia.

Jakżeż dumnie pną się drzewa,
Pną się wciąż ku górze,
By gałęźmi ucałować
Cudne nieb podnóże!
Pocóż próżno piąć się w górę,
Dumne wznosić oko?
Nie wzrośniecie tak, o drzewa!...
Niebo za wysoko!

*
* *

Jakże rwie się serce moje,
Jak się rwie z zapałem
Za marzonym tak gorąco
Piękna ideałem!
Próżno rwiesz się, dumne serce,
Jesteś nadto brudne,

By osiągnąć swój ideał,
Swoje cele cudne!

*
* *

Oj, nieszczęsna nasza dola!
Oj, my biedne drzewa!
Że to niebo, to wysokie,
Tak nas wciąż olśniewa!
Lecz czem bliżej, tem rozkoszniej
Pieści blask nas złoty,
Będziem przeto piąć się w niebo,
Aż uschniem z tęsknoty!

*
* *

Oj nieszczęsna moja dola,
Biedne serce moje,
Że je nęcą tak zdaleka
Świętych uczuć roje!
Lecz czem więcej, tem rozkoszniej
Śnię o wzniosłem pięknie:
Ideału będę pragnął,
Aż mi serce pęknie!

*
* *

Majowy dzień, majowy dzień
Rozkwita w blaskach słonecznych;
Słowiczych brzmień, wiosennych tchnień
Pełno w przestworzach powietrznych...

Zefir gra pieśni w wierzchołkach drzew
Echo im wtórzy bez końca,
A cudna róża słyszy ten śpiew,
Cudnie się wdzięcząc do słońca.

Lecz mrok nadchodzi i słońce znika,
Więc róża tęskni i wzdycha,
Pochyla kielich, listki zamyka, —
Łza rosy spływa z kielicha!...

———

Pożegnanie Szlangenbadu.

Cichy słodki Szlangenbadzie,
Żegnaj, żegnaj mi, —
Śród zielonych gór twych można
Pędzić szczęsne, złote dni...

Gdybyż tylko człek nie przywiózł,
Gdzieś zostawić mógł lub chciał,—
Ciała jad i serca rany
I dziwaczny mózgu szał.

Lecz i tak — o! stokroć mniej tu
Ciało, duszę boleść nęka, —
I chwilami przyjemnością
Zda się tutaj nawet męka.

Tak jest lżej dziecinie chorej,
Gdy dłoń lekką matka kładzie
Na jej czółku rozpalonem —
Żegnaj luby Szlangenbadzie!

Impromptu.

Nic mi... nic mi nie potrzeba!...
Żarem słońca na mnie dyszy
Rozpalony błękit nieba...
Tyle ciepła!... tyle ciszy!...

Tu, w zbożowych leżę kłosach...
Wonne habry lśnią... bez końca!...
Na mej twarzy, na mych włosach
Grają ciepłe blaski słońca...

W tem ukryciu choć przez chwilę
Pierś pogodą słodką dyszy,
Gdy mam słońca, ciepła tyle,
Tyle ciszy... ciszy... ciszy!...

Na tym złotym zbóż kobiercu
Nic już mieć nie pragnę więcej...

Jednak... coraz dziwniej w sercu!
Jednak coraz mi goręcej!

Jak gorąco!... Ach, litości!...
Ja pragnienie mam bez miary:
Pragnę wypić czar miłości
Z koralowych ustek czary!...

Nokturn I.

Noc zagląda w ciemne okno...
Wiatr... Izdebka moja drży...
Patrzę... W deszczu szyby mokną...
Droga!... Czy to płaczesz ty?...

Noc tak samo była dżdżysta,
Gdyś odeszła kędyś w świat...
Jako lilia, byłaś czysta,
Zanim piorun z nieba spadł!...

To nie ona... To deszcz płacze...
Gdybym mógł cię blizko czuć!
Słuchaj! Wszystko ci przebaczę...
Tylko nie płacz... tylko wróć!...

Nokturn II.

Wichru szum złowróżbny, głuchy...
Spadających liści szum...
W mroku trzask gałęzi suchej...
I męczących myśli tłum...

Słodkie dziecię! myśl o tobie
Duszy mej odbiera moc...
Jak tam tobie w ciemnym grobie
Musi być w tę straszną noc!...

Zimną pustkę czuję wkoło...
Ach! nie przyjdziesz, droga, tu
Rozpalone ścisnąć czoło,
Ukołysać mnie do snu..,

Ty nie przyjdziesz... Na spotkanie
Muszę sam do ciebie iść...
Wiatru szum... ha, to wołanie!...
Z jękiem spada zwiędły liść...

Nokturn III.

Dzień posępny w mgle umiera,
Krwawo kona słońca blask,
Wicher żółte liście zdziera
Słychać wron ponury wrzask.

Stara boleść już się rusza
Na głębokiem serca dnie,
A wesela pragnie dusza,
A miłością serce tchnie!

Już przekwitłaś złota wiosno,
Chłód zawiewa z wszystkich stron...
Jakże śpiewać pieśń radosną,
Gdy ją mąci bólu ton?!

*
* *

Muszę w rymach i śmiać się i szlochać,
Muszę piosnką na śmierć się kołysać,
Muszę kochać i kochać i kochać,
Muszę pisać i pisać i pisać!

CYKL V.

Z DNI SMUTKU I ZWĄTPIENIA.

Przygrywka.

Wygrzebałem z mych seksternów
Z już pożółkłych szmat
Stare wiersze dni mych młodych —
Osiemnastu lat!

I badałem w zamyśleniu
Młodej męki ślad,
Mojej dziwnie smutnej wiosny
Jadowity kwiat!

I pytałem, śledząc myślą
Ów tęsknoty szał, —
Czym w istocie w mojem życiu
Kiedyś wiosnę miał?!

Bo czyż mogę zwać młodością
Ów pochmurny czas —

Z powarzonem kwieciem wiosnę,
Z zeschłym liściem wraz?!

Ach, niejeden z mych rówieśnych
Taką wiosnę miał...
Los epoki swej dziecięciu
Taką młodość dał.

Bo to jednak była młodość,
Chociaż chmurna tak;
W starych wierszach odnajduję
Tego pewny znak.

Młody duch się wzdrygał wonczas
Na najlżejszy cień,
Który plamił wyobraźnię
W młodociany dzień.

Zakochany w ideałach,
W woni białych róż,
Każdą plamkę w swem sumieniu
Mienił zbrodnią już!

Myśl przedwcześnie rozwiniętą
Szorstko raził świat,
Ludzki bój zawzięty, wieczny,
I zagadnień jad...

Przerażone, przeczuwając,
Ciemne życia tło,
Dziecię wieku sił nie czuło,
Aby zwalczyć zło!

Młodej duszy jeszcze wtedy
Nie nauczył czas,
Że się trzeba godzić z sobą
I ze światem wraz.

Trzy żale.

Ja wam powiem, czemu cierpię stale,
Czemu schylam tak nikczemnie kark,
Mam trzy żale, trzy okropne żale,
Do trzech bogiń, trzech potężnych Park!
Ja do Klotho czuję żal głęboki,
Że wysnuła mego życia nić,
Że rzuciła mnie w ten świat szeroki,
W którym, „cierpieć“ — to samo, co „żyć.“
Drugą Parkę, istną życia jędzę,
Ja przeklinam za mój nędzny los,
Bo tak słabo snuła moją przędzę,
Że najsłabszy mógł ją targać cios!
A do trzeciej, Niezbłaganej Parki,
Chowam w sercu najzawziętszy żal,
Że choć widzi moje słabe barki,
Trzyma zdala od mej nici stal!
Teraz wiecie, czemu cierpię stale,
Czemu schylam tak nikczemnie kark,
Mam trzy żale, trzy okropne żale,
Do trzech bogiń, trzech potężnych Park!

Ból młodości

(w latach osiemnastu).

Ha, śmiejcie się wy, kiedy serce me drży,
Przeciw życiu podnosić chce bunt?
A więc błagam ja was, spełńcie prośbę mą raz,
Dajcie stały pod nogi mi grunt?
Abym nie chwiał się wciąż, by zwątpienie, jak
[wąż,
Nie dławiło pierścieniem mnie swym,
Abym przestał kląć świat, nie chciał skrócić
[swych lat,
Bym nie sądził, że wszystko—to dym.
Aby w krew wstąpił żar, aby uczuć mnie czar
Mógł pocieszać i w sercu się kryć,
Abym zwalczył swój szał, abym kochać coś miał,
Abym wierzył, że warto jest żyć!

We wiośnie życia.

Serce biedne, serce głupie
Zjada smutku rdza,
Zniechęcenie jakieś trupie
Nieprzerwanie trwa.
Mgła na oczach, myśl w żałobie
I omdlewa dłoń;
Sny o szczęściu legły w grobie,
Wpadły w Lety toń.
Nienawidzę życia szczerze,
Nie chcę świata łask,
W jasną przyszłość już nie wierzę,
Ani w szczęścia blask...
Spojrzę w przeszłość—jakżeż ciemna,
Zmarnowana, zła!
Spojrzę w przyszłość—drży tajemna
Wśród czarnego tła.

Już mnie dzisiaj świat nie truje,
Ni duchowy głód,
Straszną pustkę w głowie czuję,
W piersi—straszny chłód!
Zda się, stare wlokę lata,
Czując nudę, czczość,—
Dość mi życia, dość mi świata,
Dość mi, dość mi, dość!
Chciałbym wydrzeć z piersi ducha,
Chciałbym przestać żyć;
Poplątana, czarna, krucha
Mego życia nić...
Ej, Atropos, moja złota,
Pocóż trzymasz nóż?
Moją marną nić żywota
Przetnij, przetnij już!
Czemu zwlekasz?—Radzę przecie:
Spiesz się, spiesz się, spiesz!
Tyle ról już grałem w świecie,—
Przyjmę twoją też!

*
* *

(Sonet).

Jakiś smutek blady i zgrzybiały
Do mej duszy wjada się rozdartej
I zgorycza rozbujane żarty
I wygasza młodości zapały.

A na sercu ciężar legł uparty,
Wszystkie czucia jakgdyby omdlały, —
Tylko ciszę mąci szept zachwały:
To sumienie, wróg ten nieodparty!

Sypiąc cierniem drogę do mogiły,
Dnie za dniami leniwie się wleką.
Dam się unieść po drodze pochyłej;

Precz ze złudzeń i pociech apteką!
Ach do walki nie mam żadnej siły...
Chciałbym uciec daleko... daleko...

*
* *

Jakby szkapy wychudłe i żmudne,
Dnie za dniami leniwie się wleką;
Ciągniesz, ciągniesz to życie tak nudne,—
A twój cel wciąż tak samo daleko:
To, co zdala cię wczoraj nęciło,
Osiągnąwszy,—już dziś poniewierasz;
Wzniosłą wiarę, dziś jeszcze tak miłą,
Jutro z serca szyderstwem wydzierasz.
Życie nudzi—jak step nieskończony,
Co pod śniegu całunem spoczywa:
W jakiekolwiek obrócisz się strony,
Nic wokoło twój wzrok nie odkrywa;
Nawet kwiatka nie ujrzysz wkrąg siebie,
By czem mogła pocieszyć się dusza:
Słońce trupio przyświeca na niebie,
Tylko śniegi—i pustka—i głusza...

Czczo i pusto—więc tworzysz wciąż plany,
I udajesz, że snom swym dowierzasz,
Kłamiesz sobie, że cel masz wskazany,
I że walcząc, do niego wciąż zmierzasz...
Tworzysz sobie zwątpienia dość płaskie,
Tworzysz sobie zwodnicze nadzieje,
W komedyjancką przystrajasz się maskę,
Która razem i łka i się śmieje...
Nudne życie, szeląga nie warte,
Z pustą duszą, tak śmiesznie rozdartą;
Byłbyś czoło roztrzaskał wytarte,
Lecz i zabić się nawet nie warto!...
Jakby szkapy wychudłe i żmudne
Dnie za dniami leniwie wciąż biegą,
Ciągniesz, ciągniesz to życie tak nudne,
Nie pojmując sam nawet—dlaczego?

Z duszy.

Cały ciężar olbrzymi ludzkiego żywota
Do mej piersi się ciśnie i serce przygniata:
Cała nuda istnienia i cała tęsknota,
Co żelazną obręczą duch ludzki oplata.
Czuję brzemię na sercu: to kamień pogrzebu
Wszystkich marzeń młodości i wszystkich na-
[dziei,
Tych ogników, co świecą śród mroków erebu,
Aby zgasnąć za chwilę w dążenia zawiei.
Jęczy głucho me serce pod strasznem brze-
[mieniem,
Co powolną torturą wyniszcza me siły;
Zda się jęk ten nurtuje pod zimnym kamieniem
I z wysiłkiem letargu wychodzi z mogiły.
Przywaliła me serce życiowa męczarnia,
Serce cierpi okrutnie, lecz ciągle uderza:

Życie pastwić się lubi, ofiary zniezdarnia,
Walczy jadem powolnym, nie mieczem rycerza.
I spłaszczyło się serce pod ciężkim kamieniem,
Ale znosi nieszczęścia i bije bez przerwy;
Ludzkie serca, choć słabe, żyć mogą cierpie-
[niem,
Wytrzymałe, zaprawdę, dostaliśmy nerwy.
Lecz boleśnie, boleśnie przepędzać tak lata,
Z przerdzewiałą żyć duszą, bez snów, bez złu-
[dzenia,
Żyć śród świata, a sercem uciekać od świata,
I istniejąc, przeklinać nieszczęście istnienia.
Czem się bawić, gdy zbrzydną te cele ćwier-
[ciowe,
Te intryżki maluczkie i maski dziurawe
I podłością dyszące żądz głowy hydrowe
I te słowa szlachetne, a czyny plugawe!
Kiedy myślą przebiegam umarłych szeregi,
Co w mych oczach ożywczem powietrzem
[dyszeli,
Co w nektarach i jadach maczali ust brzegi
I w mych oczach snem martwym na wieki
[zasnęli, —
Tak mi smutno się robi, tak duszą i sercem
Ja zazdroszczę im mogił, gdzie leżą schronieni
Czy pod zimy puszystym śniegowym kobier-
[cem,
Czy pod miękim dywanem wiosennej zieleni.

Tak zazdroszczę im tego wiecznego schro-
[nienia,
Gdzie śpią cicho od gwarów życiowych zda-
[leka,
Uwolnieni od więzów gryzących sumienia
I od czucia i myśli — tych wrogów człowieka!

---

*

* *

Suche oko do snu się nie zmyka,
Choć je zmęczył powolny dnia ciąg;
Noc mnie palcem lodowym dotyka,
Martwa cisza rozlewa się wkrąg;

Tylko zegar poważnie dygoce,
Chwil szczęśliwych zazdrosny ten stróż;
Pokój w bladej omdlewa pomroce,
Światło lampy dopala się już...

I ja czuję, jak zwolna nademną
Jakiś ciężki nachyla się duch,
I fantazyę zabarwia mi ciemną,
I podszeptem rozpieszcza mój słuch;

I lubieżna fantazyja go słucha;
Dziwną mocą rozbraja on gniew
I złośliwie coś szepcze do ucha
I rozpala i burzy mą krew...

*
* *

Z przygaszonem łzami okiem,
Jadowitych pełen tchnień,
Galerniczym szedłem krokiem
W złoty dzień.
Słońce śmiechy słało ciepłe,
W jego blaskach tonął gród—
Tylko jam miał członki skrzepłe,
Niby lód...
Upojony pięknem latem
Snuł wesołych ludzi sznur...
Między mną a całym światem
Niewidzialny stanął mur.
Czemuż, czemuż me sumienie
Tyś oplątał, losie zły,
W gorzkich wspomnień czarne cienie,
W smutnych przeczuć szare mgły?!

*
* *

Gdy w mego życia zamarłe chwile
Cofnę się mglistem wspomnienia okiem,
Zbrużdżone czoło wnet na dół chylę
I cicho stąpam z tchnieniem głębokiem...
Próżno w ruinach grzebię pamięcią,
By znaleźć jedno złote wspomnienie:
Przeszłość przybita czarną pieczęcią,—
Podarte szmaty, pogrzebne cienie!
Nie! nigdy szczęście nawet z oddali
Skrzydłem mi lekkiem lic nie musnęło,
Nie zaważyło na życia szali,
Tęsknoty, bólu mi nie odjęło.
Chyba, że liczyć za szczęście warto
Krótkie złudzenia ślepej młodości,
Snów pajęczynę dzisiaj rozdartą
I nieoddany uśmiech miłości.
Ja-ż mej niedoli sam jestem winny?—

Czy w niemowlęctwie wgryzł się w me lice
Jad, co w podściołce krył się dziecinnej,
Jak w Dejaniry białej tunice?!
Czyliż natura zadrwiła ze mnie,
Dając mi czułe tak głupio nerwy,
Że kiedym pełzał przez życia ciemnię,
Musiałem boleć zawsze... bez przerwy...
Sprzeczne potęgi wciąż piędź za piędzią,
Zwalczały duszę, tkniętą chorobą,
A jam był własnym surowym sędzią;
Nie mając jednak władzy nad sobą!

Ciemność.

Ach! noce dla mnie to całe wieki—
Męczarnie srogie!
Nie chcą się zawrzeć łzawe powieki,
Zasnąć nie mogę!
O czarnej nocy czarno przedemną,
Jakbym był w grobie,
Więc sam przejęty trwogą tajemną
Płaczę po sobie.
A gdy po długiej walce z myślami
Zasnę na chwilę,
Cisną się senne widma tłumami,
Drażniąc niemile!
I znowu ciemność fantazyi okiem
We śnie ogarnę:
Tłum czarny idzie poważnym krokiem;
Tam pudło czarne;

Świece i kiry, pogrzebne konie!
Ja w trumnie leżę!
I z snu się budzę z rozpaczą w łonie;
Wątpię i wierzę...
Niedarmo ciemność nad łożem nizko
Tak się pochyla...
Choć młody jestem—widać już blizko
Odejścia chwila!...

Niewolnik namiętności.

Ej wy zmysły moje rozigrane,
Ej wy czucia moje rozwichrzone,
Ej wy chucie moje rozhukane,
Ej wy myśli moje potargane,
Ej wy żądze moje nieskończone,—
Czemu-żeście mnie okuły w pęta,
Rozum, serce zgniotła wasza siła?!
Namiętności bądź-że mi przeklęta,
Niewolnika zemnie tyś zrobiła!
Próżno myślą wybiegam do cnoty,
Próżno sercem pragnę ideału,
Próżno duszą marzę sen mój złoty,
Próżno wolą uciekam od szału!
Przyjdzie zawsze czarna ta potwora,
Przyjdzie burzyć wszystkie czyste plany;
Żądzą drżąca i dzika i chora,
Sine wargi, włos ma rozczochrany,

A na czole jej zmarszczki starości,
A jej postać chuda i wykrętna,
W oczach blaski bezwstydu, chytrości,—
To namiętność ta podła, ta wstrętna!
Oh! na cele moje, na te boskie,
I na czucia moje, na te słodkie,
I na miłość i na moją troskę,
Na wspomnienia, na sny moje wiotkie,
Narzuciła swoje cienie grube,
Roztaczając wkoło noc sromotną,
Skazywała to światło na zgubę,
Lub na życia tęsknotę przelotną;
Pijaniła moje młode zmysły,
Mnie czyniła bezwolną istotą,
Aż mi dłonie w rezygnacyi zwisły,
Ażem pobiegł bez pamięci w błoto!
Ej wy zmysły moje rozigrane,
Ej wy czucia moje rozwichrzone,
Ej wy myśli moje potargane,
Ej wy żądze moje nieskończone,—
Widzę światło czarowne w oddali,
Lecz moc wasza żelazna mnie nęka,
Próżno biedz chcę, gdzie światło się pali,
Grzęznę w błocie—i serce mi pęka!

———

*
* *

Jakże mogę sen złocisty
Lekko śnić,
I z krynicy marzeń czystej
Duszą pić,—
Kiedy wszystkie sny złociste
Mrok mi skuł,
I krynice marzeń czyste
Zmącił muł?!
Jakżeż mogę światła zdroje
W koło lać,
I na strunach duszy swoje
Piosnki grać,—
Kiedy światło me zalała
Zmysłów noc,
Struny duszy mej porwała
Burzy moc?!

Jakżeż mogę pod niebiosy
Orłem mknąć,
Karcić ludzi, złego głosy
Gniewnie kląć,
Kiedy żądze kajdaniące
Czuję sam,
I pragnienia w głębi drżące
Dobrze znam...
O! jak trudno mi z zmysłami
W świecie żyć,
Kiedy chęć mnie jedna mami
Duchem być!!

*
* *

Jam przeszłość chciał zwalić do trumny
I zawrzeć jej wieko;
Chcąc wybrać więc środek rozumny,
Uciekłem daleko!...
Bo chciałem się rzucić w toń nowych
Wypadków i wrażeń,
By duszę oczyścić z surowych
I czarnych mych marzeń.
Lecz serce dziwacznie się łudzi
Wśród życia zagadki...
Tak! nowych spostrzegam tu ludzi
I nowe wypadki...
Lecz dawnej boleści mej kamień
Przywala wciąż duszę
I stare śród nowych omamień
Powstają katusze!...

Do serca mi chyba te kiry
Przyrosły złowrogie,
Że strasznych tych szat Dejaniry
Oderwać nie mogę!
Od miejsc, w których niechęć swą żywię
Dziś dzielą mnie mile,
A miał-żem i tutaj prawdziwie
Swobodną choć chwilę!
Świadomość mnie moja pożera
Jak chciwy niedźwiadek,
Mój duch z niepewności umiera
Śród życia zagadek...
Ach! co to jest zemną, ach co to?!
O, losie złowrogi!
Czym po to uciekał, czym po to
Przebiegał te drogi?!
Ach, co to jest zemną?! ach, co to??
Że wszystko to na nic!
Przywiozłem cię z sobą, tęsknoto,
Tęsknoto bez granic!...

Szukałem dzisiaj.

Szukałem dzisiaj spojrzeniem chciwem
Na niebie gwiazd i miesiąca;
Szukałem ducha pragnieniem żywem
W sercu—miłości gorąca...
Lecz i na nieba szarym kobiercu
Nie było świetlanych gości,
I w mojem pustem nie było sercu
Nawet iskierki miłości!

*
* *

Czarne chmury się piętrzą na niebie,
Czarna troska się tarza po duszy;
Niebo łzy swe chce wylać ze siebie,
Dusza łzami chce ulżyć katuszy.
Tak! lecz chmury się dzisiaj wypłaczą
I rozjaśni się niebo to drogie,
A ja z moją zostanę rozpaczą,
Bo ja płakać niestety nie mogę!

*

* *

Ja się śmieję, dzwoneczkami wstrząsam
Błazeńskiego mojego kołpaka,
Ja płochliwie i swawolnie pląsam,
Do małego podobny dzieciaka.
Ale w głowie myśli nie dziecinne,
Ale w sercu czucia nie niewinne:
W mojej głowie siedzą chciwe Harpie,
Moje serce wiecznie robak szarpie!...

———

Do Wisły

Wisło moja milcząca! Wisło moja groźna!
Patrzyłem dziś na ciebie wśród ciszy wie-
[czornej
Nad tobą już zawisła szata nocy mroźna,
Wietrzykowi lekkiemu bieg twój był pokorny.
Niebo zdala zniżyło swoje czoło chmurne,
Aby gładkie twe lica pocałunkiem musnąć,
I nie chciało już więcej wznieść go w sfery
[górne,
I zlawszy się w uścisku zapragnęło usnąć.
Drgające światła latarń, stojących szeregiem
Nad ponurym wężowo wijącym się brzegiem,
Na falach kładły długie, równoległe cienie.
Więc gdym patrzył na ciebie, czułem lekkie
[drżenie,
I uciekłem!... bo w głowie myśl dzika błądziła,
Żeś mnie groźnie w swe zimne objęcia wabiła!

Przedwczesna jesień.

Tocząc się ciągle w paszczę zepsucia,
Nie zachowałem w życia niedoli
Poczucia siły, poczucia woli,
Poczucia myśli, uczuć poczucia!
Powoli—piękno wygasa we mnie,
Powoli—grzęznę w życiowem błocie;
Już dla dobrego nie drżę tajemnie,
I widzę śmieszną naiwność w cnocie;—
I wyobraźnia—ta boska siła,
Teraz się stała jakaś obłudna,
Głupia, leniwa, szara i brudna,
Zwalawszy skrzydła, wnet je straciła.
I myśl zżółwiała, w zbolałej głowie
Pełza, jak robak; wszędzie jej nudno;
Nie płynie z ust mych w ognistem słowie

I nawet w rymy wplata się trudno;
Ani się naprzód nie rwie z pośpiechem,
Dla wszelkich celów pełna niechęci,
Ani przeszłości nie chce być echem,
Odarta z wielkich skrzydeł pamięci.
Szara mgła smutku legła na oku,
I blask się żadną nie przedrze miarą,
Aby zajaśnieć wewnątrz, wśród mroku,
I ogrzać duszę głupią i starą.
Gdy wzrokiem dawnych snów lub wspomnie- [nia
Spoglądam dzisiaj na moje życie,
Słyszę szarpiące głosy sumienia,
Słyszę ranionej dumy mej wycie.
W parodyę uczuć wpadam uczuciem,
W bezmyślnych myślach myślą się grzebię,
Trzęsąc wrośniętem w wolę okuciem,
Czuję, że nie mam poczucia siebie!
Zdarza się czasem: w mroku zasiędę
I głucho siebie pytam się nieraz:
Czem byłem niegdyś, czem jestem teraz,
Czem mogłem zostać? czem będę?...
I wtedy pustka straszna zawiewa,
Oko się patrzy dziko i sucho,
I chociaż głos mój chrypnie, omdlewa,
Lecz słyszę wewnątrz odpowiedź głuchą.
I widzę—widzę: niegdyś wróżyłem
Różowy rozkwit, pełny nadziei,

Ale czy los mnie stargał w zawiei,
Czy sam swe siły nędznie zniszczyłem;—
Wiem tylko tyle, żem owoc smutny,
Co niedojrzawszy, gnić już poczyna,
I czeka, wlokąc żywot pokutny,
Rychło upadku zabrzmi godzina?

Do siebie.

Porzuć rymy, porzuć mary mgliste,
Niech cię Muza twa nie wabi zdradna;
To nie twory poezyi przeczyste,
To nie piękno, to nie świętość żadna:
To są smutki, którym dusza rada,
Wystrojone, urabiane ciernie,
To jest serca ckliwego przesada,
To są nerwy drażliwe nadmiernie.
Przestań pisać, posłuchaj, mój miły,
Tylko niszczysz, marnujesz swe siły!

CYKL VI.

NA ZMIENNEJ FALI NASTROJU.

Przegrana walka.

Jakże mą istność me pióro nakreśli?
Czyż zdoła wyrwać z ciemnego dna duszy
Tysiące sprzecznych i urwanych myśli,
Fałszywych śmiechów, mniemanych katuszy!

Czyż zdoła wiernie odtworzyć te walki,
Jakie namiętność prowadzi z rozumem,
Miłość ze złością—te silne rywalki,
I pragnień boje, prowadzone tłumem;

Z siebie i w siebie gonitw dziwnych tyle,
Sny me o życiu ze snami o grobie,
I bojaźń drżącą, że ja się omylę
Albo w ludzkości, albo w samym sobie!?

Czyż zdoła pióro zebrać w obraz cały
Oddzielne mego uczucia okruchy,

Zwątpienia, wzloty, szyderstwa, zapały
I nerwów lekkie niezbadane ruchy?

O! moje życie jestto w głębi łona
Ze sobą samym pojedynek skryty!...
Czy jedna wygra, czy też druga strona,
Ja wyjdę zawsze okropnie pobity!

Na polu.

Ach! szeroko tu w około!
Twarz mi muska wiatru wiew...
W duszy śmiało i wesoło
Z tętnem krwi mej wzbiera śpiew.

Ogień z oczu moich bucha!
Ogień w piersi mojej wre!
Szmer z przestrzeni mknie do [ucha:
Mnie natura zwierza się!

Grzmi i błyska! — Jaka burza!
W koło rzeźwy szumi deszcz!
W jakąś świeżość duch się nurza
I po nerwach biega dreszcz...

Głupia tęskność ma umiera,
Z nią niepewność ginie wnet.

W niebo oko me spoziera:
Jam ptak wolny, a nie kret!

Tak! na strunach mojej woli
Wprawną ręką dzisiaj gram!
Jam do wyższej przyzwan roli!
Nie poznaję siebie sam!

Moje uczucia.

Uczucie moje—to nie cieplarnia
Dla marnych kwiatów,
Co szczupłem ciepłem swem nie ogarnia
Dalekich światów...
To nie jest koło, raz zakreślone
Krótkim promieniem,
Nie ckliwe dziecię, łzami zroszone,
Z słabem ramieniem...
Uczucie moje nie zmienia barwy
Według wygody,
Uczucie moje nie nosi larwy
Chwilowej mody.
Uczucia moje—nie ciepłe szale,
Nie miękie futra;
O! one żyć-by nie mogły wcale
Życiem bez jutra!
Moje uczucie ogarnia tłumy,
Tłumy cierpiące;

Dla nich to pragnie, choć nie zna dumy,
Być jako słońce!
Uczucie moje—to motor święty
W życiowym znoju,
Ono unosi w myśli odmęty,
Na pole boju...
Ono boleje o ciemnej braci
W sercowej cieśni;
Uczucie moje życia nie traci,
Bo tętni w pieśni...

Młodociany poryw.

(W latach osiemnastu).

Tak! muszę gwałtem zerwać ze sobą!
Zbliża się wielka przesileń chwila,
Z nędznej poczwarki tą właśnie dobą
Muszę się wreszcie zmienić w motyla!
Szersze uczucia w pierś mą kołacą,
Myśl w kraj idei biegnie na zwiady;
Wy mi wskażecie, prawdo i praco,
Jak trzeba w życiu zostawiać ślady!
Drobna zwyczajność dręczy mnie nudą,
Życie fizyczne nadto jest krótkie,
Nie mogę próżnią żyć, ni obłudą,—
To mi do walki doda pobudkę!
Serce mi szarpie poczwara dumy,
Dysząc za karmem sławy dalekim:
„Kto się nie umiał wybić nad tłumy,

Kto nic nie zrobił — nie był człowiekiem!“
Śmiejcie się!... Drwiny wasze pojmuję!
Cóż?! Kiedy orły biegną w obłoki,
I ja do lotu ochotę czuję,
I ja chcę wzlecieć w obszar wysoki!
Gdym drobny ptaszek, niechaj z błękitu
Spadnę, w przepaściach głowę rozbiję;
Lecz jeślim orzeł — o szczęście bytu!
Wtedy naprawdę pojmę, że—żyję!

*
* *

Nie chcę komnat złoconych, ni służalców schy-
[lonych,
Nie chcę bogactw całego wszechświata,
Ni przyjaciół nie żądam, ani lubej wyglądam,
Ani duch mój w błękity ulata;
Już nie nęci mnie sława, nie olśniewa zabawa,
Nie chcę uciech znać Epikurejskich;
Chciałbym wszystko postradać, a natomiast
[posiadać
Jedną kroplę ze źródeł Letejskich.

---

*
* *

Nie wierz w mój uśmiech, młoda dziewczyno,
Ani w swawolne me słowa,
Chociaż z ust moich wciąż żarty płyną,
Lecz w sercu—otchłań grobowa!

Chociaż się śmieją płocho me usta,
Choć lekko dźwięczy ma mowa,
W sercu nie mieszka wesołość pusta,
W sercu mem rozpacz grobowa!

*
* *

Serce słabnie, duch oddał się w pęta,
Wzrok obłędniał, zadrżały mi dłonie,
I świadomość swej nędzy przeklęta,
Jako robak, zasiada w mem łonie.
Jakżeż duch mój bezsilny i chory!
Jak go chwila poniża złowroga!
Toć że szukam w około podpory:
Chcę modlitwy i wiary i Boga!
Błędny wzrok mój podnoszę do nieba,
Chciałbym przebić te cienie i blaski,
Boga, Boga mi teraz potrzeba,
Przebaczenia, pociechy i łaski!

. . . .

Lecz wiem, że wszędy trwa konieczność twarda,
Wiem, że mą prośbę spotka tylko wzgarda,

Że skutek chłodno stąpa za przyczyną,
Że przeznaczeni na zagładę—giną!
Więc, choćbym błagał, choćbym płakał rzewnie,
Co się zaczęło, to się skończy pewnie:
Stargany w groźnej walki kołowrocie
I dłonią losu popchnięty kamienną,—
Duch mój zapadnie w szalonym swym locie
W przepaść ponurą, głuchą i bezdenną...

Sen.

Ach, bodaj że sen mój nie kłamie,
Na duszy mej zawisł, jak brzemię,
Ja śniłem, że ktoś mnie za ramię
Pochwycił, obalił na ziemię,
I dłonią tak ścisnął za gardło,
Że tchnienie się w piersi zaparło.
Więc wzrok wytężywszy swój krwawy,
Ja wroga błagałem tak we śnie:
„Ja pragnę miłości i sławy,
Ja nie chcę umierać tak wcześnie;
Ach, ulżyj okrutnej mej męce,
Odejmij żelazne swe ręce!...“
Nie baczył na łzy, na błagania,
Któremi go ująć pragnąłem, —
I w chwili ostatniej konania
Ze snu się strasznego ocknąłem:
I widzę... sam sobie nie wierzę...

Słuchajcie, opowiem wam szczerze:...
Jam własną miał dłoń na ramieniu,
Dłoń własną na szyi ja miałem,
Sam ramię szarpałem zawzięcie,
Sam gardło zawzięcie ściskałem!
I w grozę straszniejszą popadłem,
I symbol okropny odgadłem:
Ja, myśl wysilając bez miary,
Skazuję swą myśl na zatrucie,
I serce spinając ostrogą,
Uczuciem zabijam uczucie,
I kaprys swój zwalczam kaprysem
I jestem w pustyni farysem.
I duch mój wieczyście rozdwojon sam w sobie,
I własną swą ręką ja złożę się w grobie!

*
* *

Śród szarugi i zmierzchu,
Tam na moście egipskim,
Na kanale Fontanki,
Zaczepiły mnie sfinksy.
Nieruchomem spojrzeniem
Swoich twarzy żelaznych
W głąb' mej duszy przenikły
I spytały ciekawie:
„Czego szukasz przybyszu,
„Tu w nieznanem ci mieście?
„Jakich złudzeń cię wiatry
„Aż na północ przyniosły?!“
I cień chmurnej zadumy
Na mem licu wnet zaległ,
A z mych ust zaciśniętych
Ani słowo nie wyszło.
Tylko rękę oparłem
Na poręczy żelaznej

I z kamieni nadbrzeżnych
W głąb' kanału spojrzałem.
Na wód czarnych powierzchni
Żółte światła latarni
Migotały odbiciem,
Kołysanem przez wiatry.
A w głębinie ponurej
Sznur kamienic sąsiednich,
Wywróconych dachami,
Swe kontury rysował.
I do głowy mej naraz
Myśl dziwaczna strzeliła, —
Że przybyłem ja tutaj,
By spokoju poszukać;
Że ten spokój szukany
I marzony oddawna
W onych gmachach się mieści
W wód głębinie wiszących...

Na północy.

Oto letni dzień na schyłku przecie,
Lecz nie prędko noc rozpostrze cienie
Pod tym stropem bladym i bezsennym...
Jakiś bezwład zapanował w świecie,
Czuć w powietrzu dziwne zleniwienie,
Niby niemoc po upale dziennym;
Samo niebo tchnie na miasto ciszą
Spójrz! obłoki nieruchomie wiszą...

Wolnym krokiem idąc po ulicy,
Słyszę kędyś skrzypiec ton miłosny,
Niby skargę, niby cichy lament...
To z otwartych okien kamienicy
Zbiega ku mnie naraz dźwięk żałosny,
A me serce gra akompanjament...
Zkąd ten grajek niewidzialny dla mnie
Mą tęsknotę wypowiada za mnie?...

W pilnej sprawie.

Przed mieszczańską klientelą
Nic mnie z grzechu nie oczyści:
Adwokacka moja teka
Rdzawo-żółtych pełna liści.

Poprzez parki, po za miastem,
Jam dziś jechał w pilnej sprawie,
Lecz ją cudny dzień jesienny
Z mojej myśli wygnał prawie.

Te pożółkłe akty w tece
I czerwone assygnacyje,
Które dano mi na koszta,
Mają wszelką bytu racyję.

Lecz do duszy stokroć więcej
Przemawiają oczywiście

Te pożółkłe liście brzozy
I czerwone klonu liście...

Ej, woźnico, wstrzymaj konia,
Daj mi mały odpoczynek,
Z tego parku moim miłym
Pragnę posłać upominek.

Mój woźnica młody chłopak
W moje ślady poszedł skoro;
I zerwaliśmy obydwaj
Najpiękniejszych liści sporo.

W sentymentach dla natury
Ledwiem nie grzązł tak dalece,
Żem wyrzucić chciał papiery,
By mieć więcej miejsca w tece.

Lecz i tak dziś moja teka
Rdzawo żółtych pełna liści:
Przed mieszczańską klientelą
Nic mnie z grzechu nie oczyści.

. . . .

Przy tym dniu słonecznym w parku
Z mego czoła zeszła chmura:

Ach, najczystszych uciech czarą
Zawsze poi nas natura!

A więc piłem całą duszą
Z tej upojeń słodkich czary...
Ale wiatr już strącał liście —
Najpiękniejsze wiosny dary.

*
* *

Niema to, niema to,
Jak humorek niepopsuty,
Kiedy człek pozbędzie się
Żałośliwej w głosie nuty,
	Gdy odważnie plunie raz
	Na niedole tego świata
	I marzeniem wartkiej krwi
	Aż na gwiazdy spadłe lata;
Gdy kulami u swych nóg
Niby żongler się zabawia,
Zręcznie skacze poprzez miecz,
Który serce mu zakrwawia;
	Gdy w księżyca głupią twarz
	Z głupim śmiechem się zagapi;
	Wytrząsając kiesę swą
	Biedą jutra się nie trapi;

Gdy weselem, brakiem trosk,
Głębię wszelkiej prawdy mierzy;
Że dwa razy dwa jest pięć,
Jak w aksyjomat święcie wierzy,
A spotkawszy pełną pierś,
Nie do serca tęsknie puka,
Zamiast ckliwych uczuć tam,
Gdy rozkoszy samej szuka;
Kiedy jasną nosi twarz
Zamiast miny kwaśnej, strutej, —
To się zwie, to się zwie
Mieć humorek niepopsuty!

. . . .

Ale topór blask utraca,
Gdy porąbie w lesie drwa,
A mój humor niepopsuty
Tylko parę minut trwa.

---

*
* *

Milion ruchów robiłem już ręką
Śród tysiąca mych nieszczęść i szczęść:
Już i rękę składałem na sercu,
I ku niebu wznosiłem już pięść.
I nerwowo splatałem już palce,
I wpijałem paznokcie już w dłoń,
I garściami chwytałem za włosy,
Chcąc w łysinę ozdobić mą skroń,
I do ust przyciskałem już palce,
Aby posłać całusa od ust;
I w swej dłoni dłoń inną ściskałem,
I niejeden objąłem już biust...
I znużyłem już ręce ogromnie,
Powtarzając niejeden ów gest —
I najmędrsze, najmilsze mi z wszystkich,
Tylko ręki machnięcie dziś jest!

U wrót obłędu.

Co się z mózgiem moim dzieje?
Co zatruwa moje życie?
Ha, oszaleć mam nadzieję, —
I to w młodych lat rozkwicie?
To mi raptem zaśmiać chce się,
To znów gorzkie łzy wylewam,
To z mej piersi okrzyk rwie się,
To znów gwałtem pragnę śpiewać.
W sercu tańczy bez przyczyny
Kalejdoskop uczuć liczny...
To cudaczne stroję miny,
To mnie chwyta dreszcz febryczny.
Każdy członek drży i pląsa,
Płacz i śmiech i krzyk i śpiew...
To znów duszą moją wstrząsa
Niepojęty wściekły gniew?

* * *

Siedzę sobie, pijąc kawę,
Lub wesoło mknę ulicą,—
Wtem mi widmo jakieś krwawe
Mignie we łbie błyskawicą:
To mój sąsiad z dziwnym śmiechem
Bieży ku mnie, wznosząc nóż...
Z figla tego wnet się śmieję,
Wszak nie jestem żaden tchórz!

*
* *

Piszę jakiś wiersz zabawny,
Pogrążony w słodką ciszę,—
A w tem chichot dosyć jawny
W wyobraźni mojej słyszę.
Czy to naraz drzwi otwarto?
Za mem krzesłem tyle osób!
Kuligowych maszkar kupka
Skacze, pląsa w dziwny sposób..!
Jest tam krewny w kraśnej kołdrze,
Jest sąsiadka w śmiesznym stroju,
Druh mój suknię czarną nosi,
Włóczy ogon po pokoju!
Czuję ich, lecz wierzyć nie chcę,
Że w błazeńskiej są zabawie...
A tak wszystko jawnem zda się,
Że obejrzeć chcę się prawie.

Mówię sobie: „Jakżem śmieszny!
To fantazyi mojej błysk!“
I w tej chwili wszystko znika:
Krzywe miny, śmiech i pisk...

*
* *

Na kanapie sobie leżę,
O znajomym zmarłym myślę:
„Czy przyjedzie tu zabawić,
Czy mi list obszerny przyśle?“
Myślę tak i wraz nie myślę,
Bo nie jestem taki głupi,
By uwierzyć w list lub w podróż
Tego, co ma wygląd trupi...
Jednak on już jakby przybył!
Tylko sobie w kącie stoi.
Śmieszna myśl! — Powiadam głośno:
„Czy to mnie się pan tak boi?“
I do niego palcem kiwam,
By opuścił kąta ciemność,
Wiem, że tam nikogo niema,
A rozmawiać mam przyjemność!
No, nikogo, jak nikogo, —
Coś tam jest: jak surdut stary,
Jakby nos i uśmiech znany,—
Tylko im nie daję wiary.

Jest, czy niema, — nic nie gada;
Dla mnie to nie żadna racyja,
A więc z ust mych płyną słowa,
Monologo-konwersacyja:
„Cóż? znudziło się tam panu?
Więc-eś z grobu przylazł do mnie!
O, nie dziwi mnie to wcale,
Wszyscy lubią mnie ogromnie.“
Aż mi chce się śmiać ze siebie,
Czuję, że już przerwać czas,
Chwytam laskę i kapelusz
I wybiegam w góry wraz!

* * *

Lecz najgorzej w noc bezsenną:
Kręcę się po prześcieradle,
I do tego lub do tamtej
Komponuję list zajadle.
Cały list już obmyślony,
Więc obmyślam nań odpowiedź,
Albo jestem rad z niej mocno,
Albo zły, więc wołam: „dowiedź!“
To i to pisałem w liście,
Nie pojęliście mnie wcale!
Więc list nowy komponuję,
Całą noc tak piszę stale!

Nieraz z człekiem tak się skłócę,
Rzucę seryjo głupstw miliony, —
Rankiem bym na papier przelał,
Lecz mam głowy ból szalony.
Drzemię... budzą: list przynieśli!
Tam najczulszych słówek moc...
Dobrze! nikt się nie domyśla,
Com nagadał mu przez noc!

*
* *

To się w mózgu moim dzieje!
To wypełnia moje życie.
Ach, zwarjować mam nadzieję
I to w młodych dni rozkwicie!
Nic nie znaczy, choć w rozpaczy
Jam to sam tak dobrze czuł:
Drogi brachu, toć ze strachu
Człek sam nieraz skacze w dół!
Nie pomoże nic, doktorze,
Wszystkich twoich środków moc,
Coś mnie wlecze do waryjatów!
Hop, hop, hop,—i hoc, hoc, hoc!
Już mnie dziś to nawet cieszy,
Jak pogodny nieba strop.
Ho, ho, ho!—jak mi się spieszy!
Hoc, hoc, hoc! i hop, hop, hop!

*
* *

Los wyrył na mej duszy Mane, Tekel, Fares,
I oto się nademną wróżba jego ziszcza:
Myśl mą zmienia w ruinę, a uczucie w zgliszcza,
I jeden już dziś tylko znam — apatyi kares...

—

Zardzewiały kotwice, prysły wszystkie stery,
Dawne moje nadzieje dzisiaj trupem cuchną,
I wieje wkrąg odemnie starej trumny próchno,
I niema we mnie więcej woli życia szczerej.

—

Ach, i niestać mnie nawet na tę trochę dumy,
By marną swoją dłonią z marnem zerwać ży-
[ciem,
I żyję jeno ciągłym rozkładem i gniciem,
A maską mojej twarzy oszukuję tłumy!

—

CYKL VII.

OBRAZY I OBRAZKI.

Przechadzki z Muzą.

Nudo, o Matko Muz,
Ty pozdrowioną mi bądź!

(Goethe).

Wstęp.

Poskromicielko żalów i łez,
Mych młodych lat opiekunko,
Czarowna tkaczko rozwianych snów,
Siostro, kochanko, piastunko!
Ach, towarzyszko minionych dni,
Przebacz mi zdradę nikczemną, —
Gdziekolwiek jesteś, o Muzo znijdź,
Roztocz swe skrzydła nademną.
Na mojem sercu dłoń swoją złóż,
Pociesz tęskniące swe dziecię,
Dziś, gdy mnie straszny ogarnia spleen,
Gdy mi tak pusto na świecie.

Powróć, o Muzo, nie mścij się win,
Spójrz, pokutuję dziś srodze,
Żem ci odkosza zuchwale dał,
Żem cię porzucił na drodze.
Żenował mnie twój ubogi strój,
Drażniły twe słabe siły,
Raził klasycznej powagi brak,
Przeróżne wady raziły,
Bom chciał cię zaraz wprowadzać
[w świat, —
A strach mi było krytyków,
Drżałem przed sądem wytwornych Muz,
Przed żądłem ludzkich przytyków!
Miast czoła potem i serca krwią
Na lepszy strój ci zarobić, —
Jam wolał ciebie, o Muzo ma,
Niechęcią i zdradą dobić!
I podążyłem samotny w świat,
Wzgardziwszy Muzą, — i oto,
Dokąd zaszedłem? — ach, wyznać
[wstyd!
Zaszedłem poprostu... w błoto!
Ha, nie wiem nawet, czy poznasz mnie:
Znikł już z mej twarzy rumieniec,
Los mego ducha oskubał z piór,
Postarzał się twój młodzieniec!
Przylgnęło błoto do moich szat,
Krew ochłodziła się bardzo,

I moje sądy życiowem złem
Nader ostrożnie dziś gardzą.
Nie szukam idej, a wierzę w fakt
I chętnie korzystam z faktu, —
Spokojnie czekam, aż przyjdzie kres
Mojego z życiem kontraktu.
O mało-m nawet nie włożył już
Sybaryckiego szlafroka,
Bo o wygodę dziś więcej dbam,
Niźli o piękno dla oka.
A moje serce niezna dziś nic,
Prócz paru stron fizyologii,
A jeśli w drogę kto włazi mi,
Łokciem usuwam go z drogi.
Zacząłem nawet cokolwiek tyć...
Bezmyślność sprawia te cuda!
I byłbym może zupełnie rad,
Lecz... straszna trapi mnie nuda!
Dla mego ucha muzyka sfer
Brzmi, jak przeciągłe ziewanie;
Ziewa naokół przestrzeń i czas...
I marzę, marzę o zmianie!
I oto dzisiaj... — szczęśliwy zwrót,
Czy tchnienie życia dawnego?!
Naraz tęsknotą zadrgał mój duch
Za Tobą... nie wiem dlaczego? —
I wzywam Ciebie, o Muzo ma,
Mych młodych lat opiekunko,

Czarowna tkaczko rozwianych snów,
Siostro, kochanko, piastunko!
Przybądź tak biedna, jak byłaś wprzód,
Nie chcę Cię wlec już na bale,
(Chyba Apollo zaprosi nas);
Niech Parnas nie zna nas wcale!
Przy mem domowem ognisku siądź, —
O wieńcach mi się nie marzy, —
Ot, noś kluczyki, gosposią bądź,
Bo nuda źle gospodarzy.
Niech mnie filistrem poezyi zwą,
Nie będę wcale się zżymał;
Jeżeli zechcesz, pończoszkę rób,
Ja będę włóczkę ci trzymał.
Wyjdziemy sobie każdego dnia,
Jak mąż ze żoną pod rekę, —
Ja wezmę ciemny garnitur swój,
Ty weź twą skromną sukienkę,
Będziem na wszystko patrzyli wraz
I słuchać wszystkiego będziem,
A kiedy wrócim wieczorem znów,
W moim pokoju zasiędziem.
Ty na kolanach usiądziesz mych,
Ja wezmę pióro do ręki, —
Wsłucham się w szepty słodkich twych ust
I będę skrobał piosenki.
Ty dopomożesz pamięci mej,
Ty mi użyczysz natchnienia,

Abym na papier przelewać mógł
Wszystkie przechadzki wrażenia...
Wzniosłe, czy małe, mniejsza o treść,
Niema na świecie drobnostek:
Semiramidy wiszący most
I zwykły cielęcy mostek, —
Wszystko to wartość jednaką ma,
Gdy w dobrą formę oprawne,
Zarówno może pouczyć myśl
I być zarówno zabawne!
Soter Rozbicki opisem swym
Zmniejszy i Napoleona,
A o wielkości pajączka wraz
Byron swym rymem przekona!
A zresztą dobrze piszę, czy źle —
Mniejsza, nie miejcie pretensyi;
Nie publikuję wszak moich bzdurstw
I za nie nie biorę pensyi.
Piszę dla siebie, dla Muzy mej, —
To sprawy są delikatne,
Niech więc się żaden nie wścibia nos
Tu, w moje życie prywatne!
Ot, w państwie rymów jam — burżua
A burżuazką ma Muza,
Za socyalistę krytyka mam,
Za złośliwego intruza!
A więc spacerów nie psujcie nam,
One mi służą na zdrowie:

Me serce żywiej, gdy piszę, drga,
I trochę jaśniej mi w głowie!
Będę więc pisał — mniejsza o treść,
Co z kałamarza wyciągnę:
Nie dbam ja o to, że pracą tą
Laurów, ni palm nie osiągnę.
Niech na Parnasie lśni świetny bal,
Ja z Muzą zostanę w domu:
Jej będę czytał poezyje swe,
A zresztą — prawie nikomu, —
Chyba, że kiedy zjawi się gość,
Co choć zna świetne pałace,
Nie wzgardzi drobną chateczką mą
I spyta o moją pracę,
O mą pół-pracę, zabawkę wpół
Przyjemną, a nieszkodliwą;
Takiemu tylko kantaty me
Z rozkoszą przeczytam żywą;
Gotów-em nawet w kieszeni swej
Zanieść mu zeszyt do domu;
Ja Muzie czytam poezyje swe,
A zresztą — prawie nikomu.
A jeśli nawet skusi mnie druk,
Wymówka jest znakomita:
Przyznajcie, proszę, że prawie nikt
Już dzisiaj wierszy nie czyta!

———

Poczta miłości (czyli Romantyk).

Gdzie gałęzie zagrodziły drogę,
Gdzie się idzie w nieskończoność drzew,
Gdzie z pieszczotą mech ujmuje nogę, —
Tam mnie zwabił raz słowika śpiew...

Rozerwałem uściski gałęzi, —
Ach, rozkoszą jeszcze drżały liście! —
I z zielonej wyjrzawszy uwięzi,
Natrafiłem na alei wnijście.

Gęsto żółty zarastał ją mech,
Że się zdała „zapomnienia drogą“;
O, tu chyba nie spotkam nikogo!
Wtem szmer słyszę... Wstrzymałem więc dech:
Czyżbym w pustce tej ujrzeć miał kogo?!

O dwa kroki tam gruby stał dąb...
Przy nim młode dziewczątko klęczało,
Coś z szczeliny spróchniałej zabrało,
I w otworu spróchniałą wraz głąb'
Różowego coś rączką wkładało...

Więc ujrzawszy „strach“ taki,
Jam nie cofnął się w krzaki,
Wstąpił we mnie na nowo duch chrobry:
Poprawiłem czupryną,
By przystojną mieć minę,
I wyrzekłem na razie „dzień dobry.“

Na grzeczności to dzieło
Dziewczę strasznie krzyknęło;
Wraz się z kolan porwało
I w gęstwinę pognało...
Ledwie coś mi mignęło
Przez śródlistne okienka:
Jak kapelusz słomiany,
Jak buziaczek rumiany,
Jak różowa z szarfami sukienka...

A więc w tej desperacyi
Czyż nie miałem ja racyi
Satysfakcyi poszukać troszeczkę?!

Jakżem był niedyskretny!
Wykonałem czyn szpetny,
Bo sięgnąłem po cudzą karteczkę...

Ten różowy bilecik,
Ten bilecik ulotny,
W serce kłuł, jak sztylecik,
A był całkiem wilgotny:
Czyli dębu sprawiła to głębia?
Czy to całus był słodki,
Niby pieczęć pieszczotki—
Pocztowego w sukience gołębia?

Zapałały mi skronie
I uczułem, że wonie,
Wonie wszystkich róż wiosny,
Zawróciły mi w głowie,
Kiedym słowo po słowie
Czytał list ten miłosny:

List: „Ciocia coś podejrzywa od wczora,
Dziś nie przechodź pod oknem z wie-
[czora...
Ach, najdroższy!—to bardzo jest źle!
Całą noc ja będę z tego chora...
Twoja Niutka całusa ci śle...“

Gdym przeczytał te słowa,
Wraz opadła mi głowa,
Konwulsyjnie zamknęły się pięście:
„Więc nie wszędzie już zgniłość!
„A więc jest jeszcze miłość!
„Jest więc jeszcze nadzieja i szczęście?!

„Całus ukryć się może
„I w spróchniałym otworze,
Gdzie dąb stary się z szumem kołysze!...
„Lecz jam spróchniał tak srogo,
„Że nie kocham nikogo,
Że mi nikt o miłości nie pisze!“

I odszedłem zbolały,
I na szczyt nagiej skały,
Co w pobliżu samotnie sterczała,
Skierowałem „beznadziejny krok“!
Tam zasiadłem ponury,
W ołowiane gdzieś chmury
Utopiłem posępny swój wzrok:
A tęsknota niemała
Moje serce szarpała, —
Aż mnie z tego bolał lewy bok!

Biegły długie godziny,
Zmrok zapadał szarawy,
A jam jeszcze w zadumie tam siedział...

Słuszna kara za winy!
Pocom był tak ciekawy:
O miłości się cudzej dowiedział?!

*
* *

Dziś już lepiej jest trocha
Z mojem sercem tak chorem, —
Ale jeszcze wieczorem
Coś mi w sercu wciąż szlocha:
„Czemu, czemu ta mała
„Nie do Ciebie pisała?!
Czemu żadna Cię Niutka nie kocha?"

*
* *

MORAŁ.

Gdy się rana ma zgoi,
Niedyskrecyi tej mojej
Winna być mi pamiętną pokuta:
Więc ów miły bilecik,
Co mnie skłuł, jak sztylecik,
Noszę zawsze... w kieszeni surduta!

Zły patrjota — filister

jak harfy Eolskie...
Żadne żaby tak pięknie
[nie grają jak polskie.

„Pan Tadeusz.“

Stałem długo, stałem jakby gap,
Zapatrzony... w co? — w przydrożne błoto!
Zasłuchany... w co? — w skrzeczenie żab!
Zrozpaczony... żem złym patryotą!

Nie odkryłem, aby gorszy głos
Miały żaby niemieckie od polskich,
A na domiar, — to filistra los! —
Nie słyszałem żadnych harf Eolskich!

Brzydkie błoto... brzydki żabi skrzek...
A najbrzydziej... chyba w mojej duszy!
Świat jest piękny w każdym pyłku swym:
Mickiewicza miej oczy i uszy!

Zmarzluchowi.

Człowiecze! porzuć próżny gniew
I one szlochy dziecięce, —
Że w dzień sierpniowy ostry wiew
Przymusił cię chuchać w ręce!

O, gdybyś jeno przeczuć mógł,
Jak cierpieć od zimna będzie
Twój prapra-prapra-prapra-wnuk
Po długim stuleci rzędzie!

Za milionset miliardów lat
Nastąpi okrutne jutro,
Zeskimosieje cały świat
I włoży niedźwiedzie futro.

Wystąpi mnóstwo czarnych plam
Na całej słonecznej tarczy

I będzie świecić z mglistych ram
Promień mizerny i starczy.

Nie będą znali słońca łask
Nasi wnukowie dalecy:
Będzie podobny słońca blask
Gasnącej łojowej świecy...

I uwatuje gruby śnieg
Nietylko oba bieguny,
Bo oto szybki przyjmą bieg
Lodu i śniegu całuny...

Z obu biegunów śnieżny ślad
Dosięgnie aż do zwrotnika,
Skupi się wonczas cały świat
Na wąskim pasie równika...

I tam, gdzie dziś jest wieczny żar,
Okrutne nastąpią chłody;
Gdzie piasek kipi tak, jak war,
Olbrzymie powstaną lody!

I będzie prapra-prawnuk twój
Chuchać w skostniałe swe palce...
Będzie podobny ludów bój
Śmiertelnej szkieletów walce...

I słusznie wówczas powie świat
W ostatniem tchnieniu rozpaczy,
Że prapra-prapra-prapradziad
Nie wiedział, co zimno znaczy!

Więc idąc śród ciernistych dróg,
Nie skarż się nigdy, broń Boże!
Jakkolwiek źle jest, dobry Bóg
Gorzej urządzić nas może!

---

*
*   *

Widziałem cię, luba, dziś znowu,
Widziałem cię we śnie,
Na piersi mi zmora leżała,
I serce mi drżało boleśnie,
I usta jęknęły, jak harfa,
Gdy struna się zrywa:
Ach, wyznaj mi, proszę, najdroższa,
Czy jesteś szczęśliwa?...

Ty wzięłaś mnie zlekka za rękę
I wiodłaś do wielkiej komnaty,
Gdzie lampa jaśniała wesoło,
I woń rozlewały wokoło
Z doniczek najdroższe twe kwiaty...
Gdzie w kącie dwa śmiechy dzwoniły,
Gdzie brzmiały radosne dwa głoski:
Rumiany, pyzaty chłopczyna

I dziewczę, co złote ma włoski,
I buzię figlarną, uroczą, —
Bawili się z sobą ochoczo...
Gdy brzękły kluczyki w twem ręku,
Ja głos usłyszałem wyraźnie,
Co wybiegł z przyległej komnaty,
I wołał na ciebie przyjaźnie:
„Ha, wreszciem doczekał się brzęku.
Pójdź, nowe przyniosłem ci kwiaty!“

Lecz ruszyć nie mogłaś się dalej,
Bo oto dziewczynka i malec
Rzucili się z krzykiem ku tobie;
I gwałtem wstrzymali cię w progu
I gwałtem o całus wołali. —
Ty główki pieściłaś te obie
I uśmiech ozdobił twe usta, —
A pomnąc, że cierpię ogromnie,
        Że ból mnie przeszywa, —
Twe oczy zwróciłaś wraz do mnie, —
I więcej jam o nic nie pytał,
Bom z oczu niekłamnie wyczytał,
        Że jesteś szczęśliwa!

I oto zbudziłem się ze snu,
I nagiej dotknąłem się ściany...
I pokój samotny i znany

Poznałem — i w koło... nademną
Ujrzałem noc głuchą, noc ciemną, —

I czułem, że serce mnie boli,
A z ust poniewoli
Jękliwy szept się wyrywa:
Ona szczęśliwa... szczęśliwa! —

Do Niego.

O najburzliwszy z najburzliwszych duchu,
Któremu trzeba wiecznych zmian i ruchu, —
Więc ci już zbrzydło me ustronie wiejskie
I czułe dziewczę, które marzy skromnie?
Więc-eś mnie rzucił, chcesz zapomnieć o mnie,
I dziś się wdzierasz na skały Alpejskie,
Nie myśląc o tem, jak cierpię ogromnie;
Pragniesz zapomnieć w wrażeniach turysty
O mej miłości niewinnej i czystej,
Zapomnieć o mnie!

Żeś dał mi rozpacz i odebrał radość,
Za łzy mych nocy i za dni mych bladość,
Za opuszczenie, za wzgardy męczeństwo, —
Niechaj ci w uszach drżą moje westchnienia,
Niech w ślad za tobą idą wciąż wspomnienia,
I niech ci będą jak wieczne przekleństwo.

Każdą uciechę niech zmącą niezłomnie, —
Póki ma rana krwią się sączyć będzie,
Musisz, okrutny, i zawsze i wszędzie
Pamiętać o mnie...

Więc, gdy cię górska natura otoczy,
Gdy w głuchą otchłań zajrzą twoje oczy,
Gdzie z dna głębiny ciemne głazy sterczą,
Słuchając wichru przemowę żałobną, —
Przypomnij wówczas, żeś w przepaść podobną
Strącił me serce dłonią przeniewierczą.
Śród skał samotnych rozejrz się przytomnie,
Lecz zaraz pomyśl wyobraźnią lotną,
Żeś mnie zostawił podobnie samotną
Przypomnij o mnie...

Gdy ujrzysz strumyk, który wązką strugą
Odbywa wiecznie swą pielgrzymkę długą,
Pod kamieniami tocząc się w wąwozie, —
Pobiegnij za mną naraz myślą rączą,
Odkryj, że łzy me tak samo się sączą,
Odkąd zostawiasz mnie w smutku i grozie;
Na szczycie góry, przejęty ogromnie,
Pomyśl ze wstydem o mojej katuszy,
Żeś wdarł się, depcząc po biednej mej duszy,
Przypomnij o mnie!

A kiedy wyżej ujrzysz cypel lodu
I dreszcz uczujesz na ten symbol chłodu,
Pomyśl, że lodem twoje serce było
Dla tej, co niosła ci miłości ciepło,
Że teraz serce jej zziębło i skrzepło,
Że dobrych uczuć stało się mogiłą...
Lecz nie!... bo jeszcze kocha cię niezłomnie,
Przez ciebie, luby, ach, zmartwychwstać może:
W dolinę kwietną spiesz przez gór bezdroże, —
Pamiętaj o mnie!

Nad łóżkiem dziecka.

Dzień za nocą, noc za dniem mijała,
Ciężko straszne wlokły się godziny;
Biedna matka bez przerwy czuwała
Przy łóżeczku chorej swej dzieciny.
I śledziła suchem okiem ruchy,
Gorączkowe rzucanie się dziecka,
Drżąc co chwilę, by śród nocy głuchej
Śmierć jej skarbu nie skradła zdradziecka.
Biedna matka patrzyła uparcie
W twarz dziewczynki, z gorączki zapiekłą.
Zda się strzegła na strasznej tej warcie,
By przez usta życie nie uciekło.
I nie śmiało ono uciec długo...
Ciężki oddech mącił ciszę głuchą,
Świeca bladą paliła się smugą...
Serce matki zabiło otuchą!
Raz zasnęła... na zmęczone oczy
Ołowiane opadły powieki;

A tej chwili z dzieweczki uroczej
Dech ostatni uleciał na wieki.
Matka przez sen oddechu nie słyszy —
Więc się zrywa... jękiem dziecko woła... —
Tak się młynarz budzi w nocnej ciszy,
Gdy umilknie stuk młyńskiego koła!...

Róża.

Kwitnie róża na drzewka ramieniu,
Od zieleni purpurą odbija,
Kąpie główkę w słonecznym promieniu,
Aksamitne listeczki rozwija...

Kiedy myślę, jak jest przyszłość zdradną,
Biedna różo! jakże żal mi ciebie...
Za dni kilka twe listki opadną,
Wiatr je porwie i w kurzu zagrzebie.

Lecz się nie trwóż przedwcześnie tą męką,
Może ujdziesz smutnemu losowi,
Gdy cię dziewczę zerwie białą ręką,
Kochanemu odda młodzieńcowi.

W jego ręku ty unikniesz zguby,
Boś relikwią, różo purpurowa, —
Dziewczę wkrótce złamie swoje śluby,
On cię jednak na pamiątkę schowa!...

Pierwszy śnieg.

Bieluchne śniegu płatki,
Wesołe nieba dziatki,
Chcą bielić błoto czarne:
Padają z góry na dół,
Do ziemskich dążąc met...
Ha, muszą iść na marne!
Przyjął je ziemski padół,
Lecz zaraz oto — zmienił w błoto,
Stopniały wnet!
Marzenia tęcza złota,
Co buja, niby ptak,
I ku nam mknie, jak gość,
By zniszczyć ból i złość, —
Gdy tknie ziemskiego błota,
Przepada tak!

Planeta Wenus.

Zimowej nocy na wschodniem niebie
Wspaniały błyszczy planeta...
Ognisty trójkąt! — dla pragnień ducha
Najpotężniejsza podnieta...
Podnieta próżna!... Nigdy, przenigdy
Nie wzlecim z wązkiego koła!
Od ziemskich kresów nigdy syn ziemi
Oderwać stopy nie zdoła...
Nie zdoła nigdy zbadać zagadek,
Które tak szarpią i bolą...
Cudowne prawo powszechnych ciążeń
Największą naszą niewolą!

Pocałunek.

(Do obrazu Leichthona „Wedded").

Dłonie złączone, lica płonące,
Serca miotane wzruszeniem!...
Ona doń usta przechyla drżące,
On ją opasał ramieniem...

Tak w świat, przez życie, poszliby razem,
Pojąc się wiecznem pragnieniem...
Ona niewieścich czarów obrazem,
On — męzkiej siły wcieleniem!

Patrz na te ręce — pieszczoty kleszcze!
Zrozumiej chwilę tę błogą!...
Tak blizcy siebie, a zda się, jeszcze
Tęsknocie ulżyć nie mogą!

Gdyby ciał zrzucić ciężar brzemienny,
Gdyby tych form zburzyć ściany!
W jeden się obłok przelać promienny
W wszystkich swych cząstkach zmię-
[szany!...

Nie! niech piękności cielesnej kwiat,
Rozkwita w zachwytów trunku!
Ta jedna para — to cały świat,
A cała przyszłość w tym pocałunku!

W jesienną pogodę.

Wielka niebios źrenica, jakgdyby zakrzepła:
Tak bezdusznie, tak martwo spogląda na świat;
W jej spojrzeniach już niema miłości ni ciepła;
I rażony tym chłodem obumiera kwiat.

Drzewa zrezygnowane stoją uroczyście,
Wśród gałęzi przyostry przewija się wiew;
Jakby życiem znużone, opadają liście,
I bez ruchu się kładną u stóp swoich drzew.

I te, niby ojcowie sierocy i niemi,
Patrzą w głuchej rozpaczy, jak dzieci ich mrą,

Patrzą w ziemię, usłaną szmatkami żółtemi;
I sztywnemi gałęźmi pod niebo się prą.

Twarz nieba coraz bardziej zamglona i blada,
Wszystko w ciężką, szarawą obleka się sieć:
To natura w swój letarg zimowy zapada...
Uciekaj od nas, ptaku, i do wiosny leć!

W podróży.

Posępny, słotny, nikczemny dzień,
Najgorszy z dni października;
Niemile jechać w tak podły czas;
Chłód w samo serce przenika.
Z szalonym pędem mój pociąg mknie
I trzęsie mną nielitośnie,
Drewniana klatka wagonu drży,
A koła mruczą nieznośnie.
Ach, monotonny pomruk tych kół
Rozdziera hałasem uszy,
Niby przykrości wróżebna wieść
Zakrada mi się do duszy...
Przez szyby zimną pokryte mgłą,
Rzucam niechętne spojrzenie,
Bo nieba blady i smętny strop
Ponure sprawia wrażenie.

Na mokrych polach szeregi drzew —
Niedawno strojne, ponętne,
W przeciwną stronę, niźli ja, mkną,
Zaspane i obojętne...
Gromada z dymu usnutych widm
Z wiatrem napowrót ucieka.
Ach, gdybyż przeszedł ten humor zły!
Dziewczę w ojczyźnie mnie czeka!!!

T a j e m n i c a.

Kto ten chłopiec blady
Z taką twarzą smętną?
Jego postać nosi
Wielkich bólów piętno...

Piękny chłopcze blady,
Ulżyj twej katuszy,
Wyspowiadaj boleść
Współczującej duszy...

Jeszcze bardziej zbladły
Blade chłopca lica,

Drżący głos wyszeptał:
— „Ach, to tajemnica!...

„Rany mej nie zgoją
„Żadne ludzkie siły;
„Tajemnicę moją
„Wezmę do mogiły!“

CYKL VIII.

IDEE I FANTAZYJE.

Nędza.

Nędza — dusi się w kącie wychudła i blada,
Wstrętnym łachmanem dziecię wesela odpędza,
Jękiem głuchym natrętnie przechodnia napada,
Dłoń kościstą wyciąga i skarży się — nędza!

Nędza — kładzie się z śmiechem pijanym w ryn-
[sztoku,
W szatach jaskrawych rozrzutną rozpustę do-
pędza,
Nóż porywa z wściekłością, palącą się w oku,
Cichym szeptem modlitwy odzywa się — nędza!

Nędza — kona na słomie, samotna rozpacza,
Dnie jednostajne w celi więziennej przepędza,
Wzrokiem błędnym, bezmyślnym dokoła zatacza,
Zdań kawałki bełkoce i miota się — nędza!

Nędza — tłumy zabawia udanym humorem,
Stryczkiem gardło swe ściąga, chichocząc, jak
jędza,
Kłamiąc dumnie fałszywym dostatku pozorem,
W ciszy głodem przymiera, nie skarżąc się —
[nędza!

Nędza... kąpie się w złocie i w uciech powodzi,
Wzruszeń sobie niemiłych oględnie oszczędza,
Zimna obok ludzkiego cierpienia przechodzi:
Nędza serca — zgnilizną świecąca się nędza!

Ruina.

Ruina — próchnem muru wykrusza się co dnia,
Pod ciężką dłonią czasu chyli się, ugina,
Głuchem echem przedrzeźnia wołanie przecho-
[dnia,
Mchem szczeliny swe stroi posępnie — ruina.

Ruina — starczą stopą posuwa się drżąca,
Z uśmiechem ust zwiędniętych dni przeszłe
[wspomina,
Przygasłe mruży oko na promienie słońca,
W cieple dnia majowego trzęsie się — ruina.

Ruina — świecidełkiem lubuje się chętnie,
Uśmiechając się gorzko, spija resztki wina,
O upadłych walorach rozprawia namiętnie,
Na podartych atłasach zasiada — ruina.

Ruina — stoi martwa przy myśli posiewie,
Naraz z pianą wściekłości rzuca się, przeklina,
Niszczy własne swe dzieło, a nic o tem nie
[wie,
Idjotycznie wykrzywia chorą twarz — ruina.

Ruina — rwie na strzępki dawne swe marzenia,
Wszelkie ducha zapędy szyderstwem obcina,
Swoje własne i cudze wyśmiewa cierpienia,
Lodowata, sceptyczna gnuśnieje — ruina!

Podłość.

Jak płyn rozlewa się podłość,
Jak krew po żyłach człowieka...
Przez wszystkie życia szczeliny
Strugami podłość przecieka.

Z gór bytu w bytu doliny
Mkną wciąż podłości potoki;
I strzela fontanną podłość
Pod strop z przepaści głębokiej...

Jak wody śród skał zamknięte
I górską spowite ciszą,
Tak na wyżynach społecznych
Jeziora podłości wiszą...

Jak wązki strumyk w wąwozie
Ze szmerem bieży w podskokach,

Huczą strumienie podłości
W społecznych nizin pomrokach...

I na życiowych równinach
Przez wszystkie ziemie i wieki
Wiją się w świetnych gzygzakach
Olbrzymie podłości rzeki...

I wszystkie życia wybrzeża
Zalewa o każdej porze,
Wiecznemi szumiąc falami,
Wspaniałe podłości morze!

Żądza.

Na dnie fontanny
Tryton kamienny,
Łasząc się nieruchomie
Skręconym ogonem,
Zielony łeb podnosi ku górze.

Bezmyślne oko trytona
Do kamiennego zwraca się kielicha,
Co dumnie stercząc wzwyż,
Wygina szerokie brzegi swoje.
A rozwarta trytona paszczęka
Jakby głuchem pałając pragnieniem
Wciąż czeka!...

I czasami z cichego kielicha
Nagle z pluskiem wesołym
Srebrnej wody wytryska
Zdrój?

I pryskają kropelki swawolne
Woda, szumiąc, z kielicha opada,
I już łeb zielonawy trytona,
Wodną rosą zmoczony,
I zwilżona paszczęka —
Lśnią się blaskiem wesołym...

Ale zdrój się wstrzymuje,
Woda zwolna uchodzi
W podziemne głębie,
Łeb trytona obsycha po chwili,
I rozwarta paszczęka,
Jakby wiecznem pałając pragnieniem;—
Znów czeka...

Fantazyja
do kobiety.

Chcę się ogrzać przy Tobie,
Chcę odpocząć przy Tobie,
Chcę na chwilę zapomnieć
O wszech-bytu żałobie,
Chcę zapomnieć o świecie,
Chcę zapomnieć o sobie,
Chcę swe zmysły upoić,
Chcę znicestwić się w Tobie...
Patrz! na twarzy mej młodej
Widne zgryzot są ślady,
Chorobliwie lśnią oczy
I śmiertelnie jam blady:
To tęsknota mi ryje
Chmurne zmarszczki na czole,
A w sumieniu bez przerwy
Jakiś robak mnie kole.

Przyłóż rękę do piersi
I doszukaj się bicia;
Czujesz pierś mą zlodniałą?
Czujesz drżenie pół-życia?
Ach, rozkoszna, jedyna!
Ty pomożesz mi na to:
Muszę piersi twych tchnieniem
Ogrzać pierś lodowatą,
Muszę drgnieniem rozkoszy
Znów przyspieszyć jej bicie,
Muszę zniszczyć tę martwość,
Krzesząc zmysłów swych życie;
Dźwięcznie — brzmiące całusy
Jęk .sercowy niech zgłuszą
I podłego robaka
Swojem ciepłem zasuszą...
Chcę się ogrzać przy Tobie,
Chcę odpocząć przy Tobie,
Chcę na chwilę zapomnieć
O wszech-bytu żałobie,
Chcę zapomnieć o świecie,
Chcę zapomnieć o sobie,
Chcę swe zmysły upoić,
Chcę znicestwić się w Tobie...
Ach, rozkoszna, jedyna!
Ejże, ulżyj cierpieniu;
Złóż mi dłoń swoją ciepłą
Na osłabłem ramieniu;

Niechaj pieści me lica
Włos twój czuły i miękki,
Niechaj toną w mych włosach
Palce drogiej twej ręki;
Przybliż do mnie bijące
Twoje piersi prze-śnieżne;
Niech twą kibić obejmą
Moje dłonie lubieżne,
Niech na cudnej twej piersi
Moje wargi rozpłoną;
Niechaj czuję na twarzy,
Jak faluje twe łono;
Niech na piersi twej bicie
Moja ozwie się echem;
Niech się oddech twój zmięsza
Z mym zatrutym oddechem;
Niech w wężowym uścisku
Nasze ciała się splotą,
By się zdało nam w końcu,
Żeśmy jedną istotą;
Niech mi nerwy zadrgają,
Naprężoną rozkoszą,
Niech wrażenia słodyczy
Po mem ciele roznoszą;
Niech do mózgu się wkradną
Jakieś czucia niejasne;
Aż z zenitu rozkoszy
Ja omdleję i zasnę,

Aż w czarownej tej chwili
Całym duchem utonę
I na wszystko narzucę
Zapomnienia zasłonę...

Bez wyjścia.

Jeśliś stracił szacunek dla druhów, dla lubej,
Dla twych bliźnich, dla świata — to nieszczęście
[wielkie!
Lecz nie szukaj, człowiecze, dla tego swej zguby
Możesz sobą zastąpić sobie braki wszelkie!
Lecz jeżeli straciłeś szacunek dla siebie,
Choćbyś miał wszystko inne, braku nie zastąpisz,
Będziesz błądził za życia na własnym pogrzebie,
Zabij się jaknajprędzej! A mądrze postąpisz!

*
* *

O, gdyby tylko prawdą to było,
Że tam w niebiosach szczęście się mieści,
Jakżeż spokojnie i z jaką siłą
Każdy by znosił ziemskie boleści!
I w życia walce i w życia znoju
Serce by szarpał na krwawe ćwierci,
Ażeby tylko w błogim spokoju
Spocząć w niebiosach później, po śmierci...

*

* *

(Urywek z dramatu).

Ha! gdyby ludzie Sokratesa rady
Zechcieli słuchać i poznali siebie,
To samobójstwom nie byłoby końca,
Albo świat cały nagle by oszalał
Z tej samowiedzy pustoty i nędzy,
Robaczych wad swych i żądz swych malucz-
[kich...
Gdyby stosunki wzajemne zbadali,
Odkryli onych tajemne sprężyny,
To jeden człowiek patrząc na drugiego,
Śmiać by się musiał i konał by z śmiechu.

Pieśń bez sensu

(wyjątek z niedokończonego poematu).

Rozdział VII.

— —

Aby kochać za miliony,
Trzeba sercem — być geniuszem;
Ja się nudzę za miliony! —
To łatwiejszy znacznie talent...
  Z planów, z plonów, spleenu chmura
  Zawsze w końcu się wyłoni —
  Najprawdziwsze rozwiązanie
  Życiowego zagadnienia...
Gdy przed dwoma miesiącami
Ukończyłem szósty rozdział,
Już przeczucie mi szeptało,
Że nie wrócę do tej pieśni.
  Bo to płaskie błaznowanie
  Wstręt i nudę mi sprawiało,

A przedmiotu przyszła trudność
Zatrważała me natchnienie.
Potem ilekroć zechciałem
Dalej snuć mą „pieśń bez sensu“,
Zawsze ducha natchnionego
Obowiązek mi krępował!
Obowiązek — ten despota
Z namarszczonem chmurnem czołem,
Z przygaszonem szklistem okiem
I z palcami żelaznemi,
Obowiązek — srogi sędzia,
Co względności żadnej nie zna
I wymaga posłuszeństwa
Nawet w czarne dnie niedoli,
Obowiązek — zimny logik
Z mózgiem, lecz bez krwi i serca,
Bo mu bogi wlały w żyły
Zamiast krwi atrament czarny,
A na miejscu serca w piersi
Punktualny wbili zegar,
Co swem biciem niespodzianem
„Rendez-vous“ przerywa ostro
Co wyrywa ludzi ze snu
Najmilszego, porannego,
I surowem uderzeniem
Nawołuje w jarzmo pracy...
Więc to on jest ów bohater
Wymarzonych bożystanów,

Z którym kiedyś ludzkość cała
Ma stosunki ścisłe zawrzeć?!

Ej!... czy zechce kiedy ludzkość
Śpiąca, gnuśna, sybarycka,
Oddać szyję dobrowolnie
W obowiązku prawe więzy,

Gdy je dziś uznaje tylko
Z konieczności, z zastrzeżeniem,
Że w sposobnej chwili zawsze
Zrzuci więzy obowiązku!...

Nigdy! nigdy!... ludzkość zawsze
Potrzebować będzie bata...
Czem sumienie? To gaduła!
Bat — to kapłan i przewodnik!

Bata, bata trzeba ludziom:
Tak! religii, obyczajów,
Głodu, prawa i opinii
Et cetera, et cetera...

Spójrzcie, proszę, wokół siebie,
Spójrzcie, jak się świat przedstawia:
Rośnie w ludziach z biegiem czasu
Pewna żyłka sybarycka:

Każdy chciałby się wyciągnąć
Na wygodnej miękiej sofce
I wypiąwszy brzuch do góry
Okiem błądzić po suficie...

Ale stan to niemożebny,
Bo za mało sofek mamy!

. . . .
. . . .
. . . .

W świecie wszystko idzie w kółko!...
Lecz to do mnie nie należy...
Jam idejkę tylko rzucił,
Może nieco szematyczną
I niesłuszną może nieco...
Lecz nie czas dziś na poprawki,
Zastrzeżenia, wyjaśnienia,
Bo już dźwiękiem mojej pieśni
Przywabiłem Morfeusza:
Idzie stary z śpiącą miną,
Z opadłemi powiekami,
I szeroką gębą ziewa,
Jakby przestrzeń chciał pochłonąć,
Z ręki pióro mi wydziera,
Nad mym karkiem się nachyla,
Na mych oczach kładzie palce,
Grube, ciężkie... Dobrej nocy!

. . . .
. . . .

Z biegiem czasu.

Po życiowych głazów skrętach,
Jak szemrząca wód kaskada,
Płyną chwile za chwilami:
Każda w otchłań czasu spada.
A padając chwyta z sobą
Łzy, uśmiechy, bóle, blaski,
I na dnie otchłani czarnej
Cichną wszelkie życia wrzaski.
Giną dumne serc wybuchy,
Głuchną bólów naszych jęki,
Znika marnie krew gorąca,
Milkną groźne zbroi szczęki,
Przepadają świetne barwy,
Przepadają dusz nadzieje,
Przepadają postarzałe
A zdobyte krwią idee,

Ucichają wyszłe z mody
A ożywcze niegdyś myśli;
Cała przeszłość wzniośle-harda
Ledwie ślad na skałach kreśli.
Wielcy czynem, myślą, sercem,
Zapadają się w mogiły:
Krew ich zziębła, serce wyschło,
Zmarniał na nic ogrom siły!
A u góry nowe fale
Mkną z kamieni na kamienie:
Nowe walki, nowe siły,
Nowe szumi pokolenie...
Ale przyszłość wszystko schłonie:
Wszelkie szczęście, ból i znoje,
O nas pomnić będą ledwie
Pergaminu żółte zwoje.
Zamiast stali czynów — czcionki,
Wielkie karty — miasto ducha,
Zamiast krwi — drukarska farba,
Zamiast życia — księga sucha!
Papierowe dziejów karty
Naszych uczuć nie odkryją,
I pobledną te idee,
Które w naszych duszach żyją,
Wielki rozum nasz osłabnie
Pod krytycznem czasu tchnieniem:
Mali będziem w porównaniu
Z przyszłem, większem pokoleniem.

Przejdą lata, — nasze dzieje
Jakiś mądry uczeń kupi,
I czytając je, wyszepcze:
„Jakżeż oni byli głupi!“
Hola! nie śmiej się, potomku,
Przyjdzie na cię dola czarna:...
Wiwat postęp! wiwat przyszłość!
Teraźniejszość zawsze marna!

———

*
* *

Gdy wstępujesz z brzegu w morze,
Idziesz naprzód pewnie, śmiało, —
Wszystkie ruchy twe dowolne
I dowolny twój kierunek.
Sądzisz przeto, że tak zawsze,
Kędy zechcesz, pójdziesz sobie,
Że dowolnie dążyć będziesz
Poprzez całe wielkie morze.
Lecz czem bardziej się oddalasz
Od wybrzeży... i czem bardziej
Ku środkowi się przybliżasz,
Czem się głębiej w wodzie nurzasz,
Tem cię bardziej ciśnie woda.
Wreszcie fale cię chwytają,
Podrzucają na wsze strony,
Pozbawiają całkiem woli,

Każą słuchać swego prądu.
Pędzisz tam, gdzie prąd jest większy,
Garbisz się wraz z swoją falą,
Wraz z nią bijesz o okręty...
Ach, bałwany cię unoszą,
Już przykryły cię bałwany!
Wiedz, podobnież z człekiem w życiu:
Póki młody, póty idzie
Płytkim brzegiem morza życia,
Póty wierzy tylko w siebie,
Wierzy jeno woli swojej,
Macha dłońmi, hałasuje:
„Zawsze w życiu dążyć będę,
Według idej mych kierunku!“
Ach niestety! ledwie odszedł
Od wybrzeża, naraz fale
Pochwyciły go w uściski,
Prąd go niesie pospolity!
Ha, gdzież wola, gdzie ideje!?
Gdzie jest moc młodości bujna!?
Już ruchami jego rządzi
Moc powszechnych praw bałwanów!..
Niechce-ż płynąć wraz z wszystkiemi?
On na nogach stanąć zechce? —
Morze naraz go pochłonie
I bałwany nad nim rykną!...

Pomnik Heinego.

Tak, macie słuszność, nie pozwólcie, nie!
By jego pomnik w waszym kraju stał...
Jest taka moc, co życie w głazy tchnie
I dawno zmarłych w stary wprawia szał.

Kamienną postać przywiódłby do szału
Dzisiejszy mrok, nikczemny obłęd wasz,
I wieszcza posąg zszedłby z piedestału,
By z ust kamiennych plunąć w waszą twarz!

Odpowiedź
„znawcy Talmudu“.

Ty nienawiści naszej powodów
Szukasz na kartach zwietrzałych ksiąg?!
Ach, oszczędź sobie próżnych zachodów,
Oszczędź próżnego ślęczenia mąk!...
Bo jeśli żółcią kiedy się poim,
Jeśli błysk gniewu zapala nas,
To nie, że Nochri, Akum lub Goim,
Zwał cię jakoby zamierzchły czas.
Nie szukaj przyczyn w „Szuhanaruchu,“
W „Aboda — Zara,“ lub w „Sanhedrin,“
Ale ich w własnym poszukaj duchu,
Gdzie nienawiści kiełkuje czyn!...
Gdy uprzedzenia twe nas zastraszą
I nie wyciągniem ku tobie rąk, —
Badaj żółć swoją i dumę naszą,
A nie stronice zwietrzałych ksiąg!...

Prawdziwa krytyka.

Nie hańbi gromiący cios,
Przez dzielnego zadany rycerza:
Nie boli krytyczny raz,
Kiedy dłoń umiejętna uderza. —
Co marne, pokruszy w proch,
Lecz nie wyda na długie męczarnie;
Nie szczędzi zaprawdę wad,
Ale zalet nie dotknie niezdarnie.
Zwaliwszy, podnosi sam,
Bo pogromem na przyszłość poucza:
Wytrawny krytyczny cios
Daje rozkosz, choć niby dokucza!
Nie orła się lękaj szpon:
W mig rozedrze potężny, co złapie!
Przed kocim pazurkiem drżyj,
Co boleśnie i wstrętnie podrapie!

O krytyce.

pośw. W. B.

Przeciętni czytelnicy! jak po wód płaszczyźnie,
Tak po wierzchu dzieł sztuki nasz wzrok się
[prześliźnie,
Ale krytyk, jak nurek, spuszcza się w otchłanie,
Każdą perłę dobędzie, na światło dostanie,
I na brzeg ją wyniesie, gdzie siedzim na zrębie,
I powiada o skarbach, które kryją głębie...

Nas zachwyca arlekin, ubrany jaskrawo, —
Wypchanym zgrabnie kształtem, fałszywą po-
[stawą;
Krytyk rozedrze szaty dłonią umiejętną,
Pod pozorem okaże nam ułomność wstrętną!
A przedziwnie nagradza ciężką złudzeń stratę.
Bo uczy nas, jak patrzeć, jak przenikać szatę.

Nieraz, jak w labiryncie, błądzisz czytelniku,
Tracisz nadzieję wyjścia, — gdy dróg jest bez
[liku.
W tem krytyka ujrzały zniechęcane oczy:
Jako kłębek Aryjadny przed tobą się toczy,
Prowadzi cię najkrótszą, najjaśniejszą drogą
Omijasz z nim przepaści, stąpasz pewną nogą.

Spójrz! on sam i w Tezeusza przemienił się
[żywo,
Spotkawszy Minotaura, — tendencyją fałszywą:
Ślepiąc blaskiem talentu, ciebie by pożarła;
On jej nóż swój krytyczny już ciśnie do gardła.

Nieraz autor z krytykiem ostrą wszczyna kłó-
[tnię:
„On skalpelem swym, — twierdzi, — dziełu gło-
wę utnie!,“
A ja mniemam, że strachu w tem zdaniu za
[wiele:
Anatomem on bywa, lecz na martwem ciele,
Przy żywem zaś chirurga zna zadanie święte:
Odcina jeno członki gangreną zajęte!

Kiedy krytyki słońce zabłyśnie u góry,
Dlaczegóż je niektórzy chcą obwijać w chmury!

Prawem światła oświeca i ciernie i róże,
I błękitne jeziora i brudne kałuże! —
Ale przecie nie tworzy tych kałuż i cierni:
Na siebie się więc skarżmy, autorowie mierni!

Niech więc krytyka świeci, niby słońce z góry:
Ono pobudza rozwój żywych sił natury; —
A że razi śmiertelnie? — et! to fakt nie nowy;
Porażenie słoneczne bije... słabe głowy!

Albumowy wiersz.

Jadzia przedemną nowe album kładzie,
Prosząc, bym wpisał jej wierszy kilkoro,
Trzeba młodziutką zadowolnić Jadzię
I wdzięcznych rymów nasypać tu sporo... —
Przecie się wzdrygam przed tą próżną pracą,
Bo myślę, Jadziu: po co to i na co?!

Widziałem nieraz sztambuchy dziewczęce,
W nich uroczyste czytałem zaklęcia,
Że się na wieki czyjeś sprzęgną ręce,
Że dłużej trwają przyjaźni objęcia,
Niż sława Rzymian, niźli Greków chwała!
Bo oni znikli, a przyjaźń została!

W owych sztambuchach z przejęciem czytałem
Wiecznej pamięci przyrzeczenia szumne, —

Rady, wpisane z ogromnym zapałem, —
Skradzione z książek sentencyje rozumne,
Milutkiem piórem skreślone prześlicznie,
To gramatycznie, to niegramatycznie.

A przecie, Jadziu, zanim pierwsza jesień
Zdążyła zerwać z drzew pożółkłe liście, —
Ze wszystkich owych pisanych uniesień
Tylko atrament został oczywiście:
Zanim pożółkły albumowe kartki,
Uniósł je strumień niepamięci wartki.

Serce, zamknięte na zamek jedyny,
Klucz od którego był rzucony w morze,
Najlichszy wytrych, z najgłupszej przyczyny,
Szybko odemknąć umiał w każdej porze!
A trwałość owej wieczystej pamięci
Była, jak bicz ów, co się z piasku kręci.

I żółkły, żółkły albumów stronice,
Spadały z grzbietów wytworne okładki,
I ta, co dała świętą obietnicę
Wspomnienia cenić, jako brylant rzadki,
Ach, właścicielka tych albumów słodka
Już nie raczyła choć zajrzeć do środka.

Więc pojmij, Jadziu, że z wielką niechęcią
Piszę ten wierszyk w twym nowym albumie, —
Bo papier nigdy nie będzie pamięcią,
Album nie czuje, ani nie rozumie; —
I najpiękniejsze albumowe rady
Gnić będą z czasem gdzieś — w kącie szuflady!

Niech twoja dusza, moja Jadziu mała,
Będzie wrażliwym na wszystko albumem!
Otwórz jej karty — niech świat na nie działa
Potężnych zjawisk swoich wielkim tłumem:
Z młodej swej duszy uczyń czułą kliszę:
Świat na niej wiersze najlepsze zapisze.

Patrz w księgę życia i w księgę przyrody,
W sztuki i w nauk olbrzymie skarbnice,
Czerp z nich poezyję do swej duszy młodej,
Przelewaj na jej otwarte stronice,
I tylko wówczas zamykaj je z grozą,
Gdy coś cię dotknie nikczemności prozą.

Śledź pilnie prawa i piękno natury,
I stań się dla niej, jak posłuszne dziecię,
I kiedy słońce obleka się w chmury,
Nie drżyj, że ciemno i zimno na świecie.
I wierz uparcie, że świat cały w końcu
Rozbłyśnie w prawdy i miłości słońcu.

Wpatruj się chętnie w gwiazd złociste szlaki,
Wsłuchuj się czule w tęskne drzew rozmowy,
Polotem marzeń ścigaj górne ptaki
I bądź na ziemi, jako kwiat liliowy;
Niechaj pracuje żywo myśl twa bystra
Tam, gdzie powszedniość widzi wzrok filistra.

Niech twoje serce będzie harfą złotą,
Na której życie wygra pieśń miłosną,
Niech się w nią dźwięki najpiękniejsze wplotą,
Niech z każdą chwilą potężnieją, rosną,
Aż ponad błotem ziemi czarnem, zimnem,
Uderzą w niebo czarodziejskim hymnem.

Niech owa harfa każdy dźwięk odtwarza;
Na śmiech wesela srebrne znajdzie echo:
A gdy w jej struny zadrga jęk nędzarza,
Niech mu odpowie współczucia pociechą.
I niechaj będzie swą złożoną gamą
Na ból i radość wrażliwą tak samo!

Bo wszystko odczuć i zrozumieć trzeba,
I trzeba wszędzie być pomocnym duchem;
Kiedy z rozpaczą głodny woła: „chleba,“
Z ogłuchłem obok przejść nie wolno uchem;
I grzesznikowi, co uczuwa skruchę,
Litości słowem trzeba dać otuchę. —

I gdy dóbr ziemskich zażywasz dowoli,
Dziś nie stykając się z żadnym kłopotem,
Pomyśl, jak wielu pracuje w niedoli,
Grosz zdobywając krwawym czoła potem,
I ile idzie wysiłków na marne,
Aby przebielić losów przędze czarne...

Życie przedstawia materyjał bogaty
I nie wart życia ten, co żyć nie umie —
Lękaj się, Jadziu, wszelkiej czasu straty,
Daj życiu pisać w duszy swej albumie;
Niech ciągle kładą na jej białe karty
Myśl i uczucie swój ślad niezatarty!

. . . .

Ot, napisałem! i chwyta mnie troska,
Że zamiast w duszy piszę to w albumie,
Bo pytam siebie, czy choć jedna głoska
Z kart tych do duszy przedostać się umie,
I czy te szczerze odczute wyrazy
Los będą miały albumowej frazy?

Ach, powiedz Jadziu, czy me piękne rady
Spać będą także gdzieś w kącie szuflady?!

———

Pieśń Greka.

W kolebce mej jeszcze
Mnie losy złowieszcze
Skazały na bole,
Na męki, na znój,
Na ciągłą tęsknotę,
Na ciągłą sromotę,
Na ciągłą niewolę,
Bom Twój!

Dziś myśli i czucia
Scieśnione w okucia!
Dziś milczeć wciąż muszę,
Choć cierpię mąk rój,

Me usta kneblować,
Me serce krępować,
Zabijać swą duszę
Bom Twój!

Nie to, żem niewolny,
Bo cierpieć jam zdolny,
Nie to mnie tak boli,
Wyciska łez zdrój,
Lecz to, że się dręczę,
Lecz to, że się męczę
W niewolnych niewoli,
Bom Twój!

Ach, jakież męczeństwo
Tak nosić przekleństwo!
Za moje katusze,
Za łez moich zdrój,
Ja ciebie, ojczyzno,
Sercową mą blizną
Przeklinać dziś muszę,
Bom Twój!

Lecz szczęk gdy usłyszy
Me ucho wśród ciszy,

Wnet w duszy zagrzebię
I męki i znój
I wstąpię w bój srogi
I zwalczę twe wrogi,
Lub zginę dla ciebie,
Bom Twój!

Pod wrażeniem „L'affaire“.

A więc fanatyzm odwieczny
I podły fałsz nie umiera?
Bezprawia doszedł mnie okrzyk
Z wielkiej ojczyzny Woltera!

Więc średniowiekowej hydrze
Odrosły znów wszystkie głowy?
Tylko jej wściekłość zaprawił
Bezczelny uśmieszek nowy!

A więc pożera ta hydra
Jak ongi wolność i prawo,
Tylko na domiar ofiarom
Śmieje się w oczy jaskrawo!

Dawniej wierzyła przynajmniej
W świętość swojego zadania, —

A dzisiaj, kłamiąc świadomie,
Niewinnych ludzi pochłania!

Więc nowej potrzeba walki?
Ha, drżyj więc, rodzie padalczy!
Uczciwość też nie umarła,
I czuwa jeszcze i — walczy!

Bądź cierpliwa.

Miłości i prawdzie służ
Gorąco, śmiało i wiernie;
Jeżeli chcesz narwać róż,
Niechaj nie trwożą cię ciernie.
  Należy pocierpieć trocha,
  Choć ludzie z tej prawdy drwią:
  To serce najlepiej kocha,
  Które oblewa się krwią.
Czem groźniej huczały burze,
Tem milej potem na słońcu;
Nie bój się, — śmiało ci wróżę:
Szczęścia doczekasz się w końcu:
  Marne się szkiełko rozpryśnie,
  Bo godne jest takiej zguby;
  Lecz brylant mocniej zabłyśnie,
  Przez wszystkie przeszedłszy próby!

Bądź wdzięczny!

Miłość ulata, jak ptak:
Nie można jej przyniewolić;
Skoroś rozkosze jej miał,
Umiej jej stratę przeboleć.

Zrozumiej tę prostą myśl,
Że wszystko jest tu znikomem:
Młodego serduszka jej
Nie ścigaj potępień gromem

Kiedy obeschną twe łzy
I już się zdążysz naszlochać,
Idź wdzięczny ukłon jej złóż,
Że nauczyła Cię kochać!

Wziąłeś już wszystko, coś mógł —
Lekcyją miłości i bólu:
Nietylko słodziuchny miód
I żądła muszą być w ulu!

W celi obłąkanego.

(Hallucynacyje słuchu).

Już na niebie świt się bieli,
Nieprzespana mija noc...
O, jak gwarno w mojej celi!
O, jak dręczy dźwięków moc!

Cóż, żem szczelnie zatknął uszy?
Nie pomaga środek ten:
Dźwięki płyną z wnętrza duszy,
Mącą spokój, niszczą sen...

Miliard kropel szumi, spada,
Aż pod niemi trzeszczy dach...
To nie deszcz... to łez kaskada...
Ile łez na świecie, ach!...

Czy to grom w ten dom uderza?
Nie, to groźny armat ryk...

Ha, rannego jęk żołnierza!
Ha, bolesny matki krzyk!...

Słyszę świsty lokomotyw
I dudnienie mnóstwa kół...
Kto tej pieśni zmyślił motyw?
Kto jej treść w swem sercu czuł?!

Na maszynach pasy warczą,
Dziwy prawią, choć bez słów...
Teraz kaszlu nutę starczą
Z kąta celi słyszę znów!...

Ktoś tam drzwi otworzył stare,
W uszach drga fałszywy skrzyp...
Brzęczy przykro muszek parę,
Bijąc skrzydły w tarcze szyb...

Ach, to z szumem wiatr powiewa,
Uderzając w dębu szczyt...
Ach, to gorzki śmiech rozbrzmiewa!
Ach, to głodny zębów zgrzyt!...

Co to? wre ocean wściekle...
Co to? pluska ludzka krew...
Co to? dyabli tańczą w piekle?
Co to? obłąkanych śpiew?

Pęka groźnie ziemi łono...
Ha! podziemnych mocy ryk...
Czyjś błagalny szept zdławiono...
Brzmi natomiast gadów syk!...

Ha, gałęzi trzask płonących!
Padających domów huk!
Ha, chrapanie konających!
W wieko trumny ziemi stuk!...

Słychać ostry poświst bicza,
I tłumiony jęk i łzy...
Jakaś nuta tajemnicza, —
Czy to komuś serce drży?...

Ktoś modlitwę, mrucząc, czyta...
Padł topora gromki cios...
Ach, o talerz nóż tak zgrzyta...
Ach, to brzęk zajadłych os...

Pękającej struny drganie,
Dręczonego dziecka płacz...
Cicho! cicho!... Słuch weź, Panie,
Albo życie zabrać racz!...

Rozczarowanie.

Nie dla mnie laurowy liść,
Niech ciernie ranią mnie srodze!
Daleko pragnąłem iść,
Lecz sił zabrakło na drodze...

Na czole mam klątwy znak, —
Precz sławy, szczęścia mamidła!
Myśl się porywa, jak ptak,
Ale złamane ma skrzydła!

Wciąż nowy przybywa krzyż,
Gdzie już jest mogił gromada...
Niebo ucieka mi wzwyż,
Przepaść się jeszcze zapada...

Serca — czas wydał na łup,
Gdy nie chcąc, bić jeszcze muszą, —
Gdy dusza już poszła w grób,
A ciało tęskni za duszą!

---

*
* *

Choć chłodna śmierć wyciąga dłoń
Nader rubasznie,
Rzucić ten świat, iść w mroków toń —
Nie jest tak strasznie!

Wszak musi przyjść wszystkiemu kres
W życia podróży...
Ta ciągłość zmian: uśmiechów — łez
Nareszcie znuży!

Lecz drogich swych rzucać na łup
Okrutnej doli,
I słysząc płacz, zstępować w grób —
To tylko boli!

*
* *

Północnych stron urocza noc,
Perłowo blada,
Nad mojem sercem dziwną moc
Zawsze posiada...

Zwłaszcza, gdy morza słyszę szum
Śród nocnej głuszy,
Powstają roje tęsknych dum
Z dna mojej duszy...

Patrzę na dziki taniec fal
W księżyca blasku,
Gdy wiatr je z szumem pędzi w dal,
By rozbić w piasku.

* * *

W poświście wichru, w ryku wód,
W blasku księżyca,
Ta sama, co i w duszy mej,
Tkwi tajemnica...

Skarży się wiatr i morze klnie,
Miesiąc boleje...
Burzy się krew i serce drży
I myśl szaleje...

Czego chce fala, wiatr i blask?
Pytam się w gniewie!...
Czego chce serce, myśl i krew?... —
Nikt tego nie wie!

Wszystko wkrąg życiem wiecznem tchnie
I wraz zwodniczem...
Nad wszystko wyższym zda się duch
A wraz jest niczem!...

W tym blasku, w wichrze, w ryku wód —
Ach, niedorzeczność! —
Zda mi się, na mnie woła ktoś:
Czy śmierć, czy wieczność?!

Dyjalog.

Rozum mówi: w tę przestrzeń bez końca
Nieznużone nigdy wbijam oko,
I odkrywam niewidzialne słońca
I ich drogi, zakryte pomroką;
W nurcie zjawisk podchwytuję prawo
I ogłaszam mową cyfr jaskrawą!

Serce mówi: między ludzkie masy,
Co ze sobą wojują zażarcie,
Nieznużone ślę po wszystkie czasy
Głos miłości, stojąc jak na warcie:
Koję bóle, niszczę walk zawiłość
I z natchnieniem głoszę światu — miłość.

Rozum mówi: przecz się pyszni serce?
Poryw uczuć rodził jawne zbrodnie,
Wiódł narody całe ku rozterce,

I dorzucał do stosów pochodnie;
Nadal krwią by się poiła miedza,
Gdyby mroków nie rozdarła wiedza!

Serce mówi: czem się rozum puszy?
Rodzi dowód, — i zbija dowodem!
Zimny dowód nikogo nie wzruszy!
Ludzkość stąpa za uczuć przewodem...
Nadal krwi by płynęła obfitość,
Gdyby w dusze nie wstąpiła litość!

Rozum mówi: ludzkość prawdy żąda...
Wielka troska i trud myśliciela,
Gdy wyniku doświadczeń wygląda, —
Jej ideał w rzeczywistość wciela:
Z każdym prawdy najbledszym promieniem
Ludzkość zdąża w dal — za przeznaczeniem!

Serce mówi: ludzkość szczęścia pragnie...
Nigdy badacz ostremi wyroki
Do swych chłodnych obliczeń nie nagnie
Marzycieli tęsknoty głębokiej!
Tylko górę biorąc nad cierpieniem,
Ludzkość zdąża w dal — za przeznaczeniem!

Rozum mówi: któż zmniejszył cierpienia?
Kto głód koi? kto choroby leczy?
Nowych bogactw szuka bez wytchnienia?

Kto ozdobił nędzny byt człowieczy?
Gdybym nie szedł z pomocą i z radą,
Ludzkość żyłaby, jak bydląt stado!

Serce mówi: kto prawdę dał światu?
Wziąwszy ludziom najdroższe złudzenia,
Mądrość pełna trucizny, bez kwiatu,
Dzisiaj marne wygody przecenia!
Gdyby znikła prawda uczuć święta,
Świat by tylko znał dzikie zwierzęta!

Rozum mówi: znam uczuć zawiłość!
Pomnę dziwnych kaprysów wypadki!
Wiem to z dziejów: nienawiść i miłość
To są zawsze dwie blizkie sąsiadki!
Ślepnie człowiek przy uczucia blasku,
Zamiast działać, kręci bicze z piasku!

Serce mówi: znam myśli zawodność!...
Nowa prawda zbija starą ostro!
Znam kapryśnych hypotez bezpłodność;
Fałsz i prawda są bratem i siostrą!
Człek szaleje w dumań kołowrocie,
Zamiast działać, grzęźnie w wahań błocie!

Rozum mówi: szczęście jest złudzeniem,
Wszystko znika w wiecznej czasu zmianie,
Człowiek biegnie bez przerwy za cieniem;

Jedna wartość jest w świecie — poznanie!
Czerpię tryumf w każdej prawd iskierce,
Choćbym zabił analizą serce!

Serce mówi: w tej ciągłej porażce
Względne prawdy są złudzeniem przecie!
Czem poznanie będzie w trupiej czaszce?
Miłość prawdą jest jedyną w świecie!
Gdy bez szczęścia człowiek żyć nie umie,
Czemuś wydarł złudzenia, rozumie!?

Do człowieka.

Nieznanej posłuszny sile,
Rzucony na czasu prąd,
Przyszedłeś tutaj na chwilę,
Za chwilę odejdziesz ztąd!

Za tobą ciemność głęboka —
Przez chwilę śród światła trwasz —
Nie wiesz, co kryje pomroka,
Gdzie jutro przepadać masz?...

Więc czasem z bólem i trwogą
Musowy swój stawiasz krok;
Zda ci się dolą to srogą —
W wieczysty podążać mrok.

Lecz wszak nie byłeś i wczora,
Za tobą też wieczna noc...
Więc drwij w godzinie wieczora
I ducha zachowaj moc!

A idąc po wązkiej kładce
W pośrodku tych nocy dwóch,
Swój rozum weź za doradcę
I wytęż i wzrok i słuch...

Gdy życie jest krótką chwilką,
Skorzystaj z jasnego dnia
I co ci się uda tylko,
To wszystko zgłębiaj do dna...

Nie daj zagasnąć iskierce,
Dopóki może się tlić,
Uczuciem napełniaj serce,
Dopóki potrafi bić...

Trzeba rozejrzeć się dobrze,
Nim wszystko okryje cień,
A potem napotkać chrobrze
Chwilę, gdy kończy się dzień,

Wówczas niech ból cię nie gniecie,
Niech strach nie wykrzywia lic,

Bo można zwyciężyć przecie
Ohydne grożące *nic*!

Tak, pracuj nad swoją grzędą,
Której udzielił ci świat,
Dla tych, co jutro tu będą
Świetlisty pozostaw ślad!

Na marginesie.

Na najstraszniejszą skazano nędzę
Dumnego ducha, co w górę rwie się:
Los mnie zapisał w życiowej księdze
Na marginesie.

Gdy swym porywom chcę czynić zadość,
Coś mnie odpycha zuchwałym gestem,
Usuwa na bok i w próżnię niesie:
Tam, gdzie ból wielki, gdzie wielka radość, —
Nigdy śród tekstu, lecz zawsze jestem —
Na marginesie.

Pomnę, raz jeden żywiłem wiarę,
Że nad młodzieńców góruję rojem,

Gdy ona, uczuć biorąc ofiarę,
Słodkich mi słówek rzuciła parę, —
Lecz się rozstałem prędko z spokojem
I przy mym zwykłym stanąłem kresie:
Bo zapisała mnie w sercu swojem —
Na marginesie.

Parnas mnie wabił: szedłem pod górę,
O listku lauru marząc gorąco...
A wiem, że w skalną upadnę dziurę,
Gdzieś w zapomnienia przepaść milczącą, —
Albo mi krytyk wysmaga skórę,
Na ostrzu stalki w przyszłość poniesie
I w księgę sławy wpisze mnie drwiąco
Na marginesie.

Oto mi dola: schodzić na stronę,
Lub nieść bezpłodnie swej pracy skrzętność...
Z drzewa nadziei listki strącone,
Złamane serce, plany zniszczone,
I spopielona na nic namiętność...
Lekceważenie i obojętność,
Prześladujące w życiowym lesie...
I jedna przystań — miejsce wzgardzone
Na marginesie.

Więc będąc jeszcze woli swej panem,
Śród takiej troski przeszedłbym oto

Sam za margines życia z ochotą:
Śmierć by mi była złem pożądanem!
Lecz samobójców grób pod parkanem...
Na całą wieczność jużbyś, grabarzu,
Kazał mi zostać przy zwykłym kresie:
Musiałbym leżeć tam na cmentarzu —
Na marginesie!

CYKL IX.

SCHERZO.

Sława.

Oj, ze sławą trudna sprawa!
Ma kaprysy Pani Sława
I pochopną jest do psot!
Rzadko darzy łaską chętną,
Często bywa obojętną,
Częściej rzuca... szyderstw grot!

Młody wieszczu! do drukarni,
Na wystawę do księgarni,
Pragniesz nieść swych marzeń splot,
Swojej duszy ból głęboki,
Serca krew i nerwów soki,
I swojego czoła pot...

Serce bije ci radośnie,
Dusza jak na drożdżach rośnie,
Bo cudowny widzisz sen:

Setki Iksów i Ygreków
Będą czytać w ciągu wieków
Twoją odę lub twój tren!

Twojej lubej uśmiech słodki
I pochwała babci, ciotki,
Nie wystarczą więcej ci!
Że cię będzie Iksów tysiąc
Chętnie czytać, pragniesz przysiądz·
Oto co się tobie śni!

A tymczasem będzie kwita,
Gdy cię krytyk X... przeczyta? —
(Nie... nie czyta nigdy on!) —
Gdy powącha tom twój szczerze
I posieka cię w kuryjerze, —
Oto będzie sławy plon!

Książkowy świat.

Jest wielki świat,
Jest ludzi tłum,
Niemeldowanych w żadnym cyrkule...
Rodzą się oni... z poety dum
I czasem więcej, niż setki lat
W zadrukowanej żyją bibule...

Rozgłos ich pędzi i goni,
Więc bez paszportu wędrują oni
Przez ludzkie serca i dusze...
Ich nierealną radość i ból
Głęboko czuje książkowy mól,
Dzieląc uciechy ich, sny i katusze...

Nad jednych losem szlocha,
Z zawodów innych szydzi,

Tamtych tak żywo kocha,
A owych tak nienawidzi, —
Że niechaj nikt się nie trudzi
Uczucia te równać z temi,
Które dla zwykłych masz ludzi,
Zameldowanych na ziemi!

Boć czem-że żywi są ludzie,
Chwiejne pomniki, stawiane nudzie, —
Materyjał ów na szkielety?!...
Gdy w tamtych mocą talentu pieczęci
Byt nieśmiertelny wetchnęło Słowo, —
I chociaż umrą w jednej pamięci,
W drugiej powstają na nowo!

Prosta droga.

Męczył się ongi pedagog stary,
By wbić mi do głowy w szkole,
Że linia prosta najkrótszą drogą,
Aż-em to pojął w mozole.
Jednakże w życiu odwrotny wniosek
Wysnuwam z spostrzeżeń wielu,
Bo ci, co idą drogą najprostszą,
Najpóźniej dochodzą celu.

Zero.

Twierdziłem niegdyś, wydając lekcyją,
Nie znając jeszcze zwątpienia,
Że cyfra zero, sama przez siebie,
Nie ma żadnego znaczenia.
Ale wnikając w sprawy społeczne,
Ja zrozumiałem dopiero,
Że tutaj właśnie wyższe znaczenie
Najczęściej posiada *zero*.

Źródło geniuszu.

Podobno długich krytycznych badań
Ta myśl owoce zawiera,
Że znać wpływ wina w dziełach Goethego,
Kawę w geniuszu Woltera.
Lecz próżno piję kawę i wino,
By oba złączyć geniusze...
Nie dość, *co* pijem... Ważne, *kto* pije, —
Więc sobą ja zostać muszę!

Ex nihilo nihil.

„Bóg świat ten stworzył z niczego!“
Mówią z natchnionem obliczem...
Cóż w tem tak bardzo dziwnego,
Gdy świat ten dotąd jest niczem?!

Dzieci Adama.

Podobno-ć związków kazirodczych
Szczęście swem światłem nie złoci:
Według uczonych, z takich związków
Rodzą się sami idyjoci...
Na Boga! przecie-ż ludzkość cała,
Co stwierdza biblia sama,
Pochodzi z związków kazirodczych
Pomiędzy dziećmi Adama!

Myśl o ludziach.

Wyprowadzam tu wniosek
Bez wywodów przydługich:
Każdy człowiek jest poczciw...
Gdy się skarży na drugich.
Ziemia byłaby rajem,
Gdyby on był sam jeden!
Ale... inni ludziska
Zatruwają ten Eden!

Różne karyjery.

Piotr był nader szlachetny,
A karyjerę miał szpetną;
Jana los zaś był świetny...
Bo miał minę szlachetną!
Paweł z czołem miedzianem
Wciąż opływał we złoto;
Gaweł złote miał serce...
Na miedź patrzył z tęsknotą!

Wielbicielce Szekspira.

Już od rana siadasz, dziewczę,
I Szekspira czytasz w głos;
Jeszcze rączki nie umyte,
Rozczochrany jeszcze włos...
Ucz się, dziewczę, u Szekspira:
Mimo bardzo smutny los,
Lady Macbeth myje ręce,
Desdemona czesze włos!

Chłop.

„Chłop jest to drugi tom bydlęcia“
    Twierdzi Pan z wielkim zapałem.
Pozwól Pan spytać: w trzecim tomie
    Którym Pan jesteś rozdziałem?

Poważna kwestyja.

Darmo na karku głowa się kiwa,
Ślęcząc nad kwestyją zabawną:
Jaka się kradzież prawną nazywa,
A jaka kradzież nieprawną!
Próżno odgadnąć umysł się biedzi,
Czemu tak dziwnie na świecie,
Że jeden złodziej w więzieniu siedzi,
Gdy drugi jeździ w karecie.
Nie kuś się jednak zmienić bieg dziejów,
Bo się nie uda, niestety,
Wsadzić do więzień wszystkich złodziejów,
Lub wszystkim rozdać karety!

Furora.

Ha, furorę zrobiłem?... Być może!
Lecz nie cieszą mnie takie zaszczyty...
Jedną mędrca naganę przełożę
Po nad głupców tysiąca zachwyty!

Wielbiciel natury.

Z wielkim gustem Pan Bóg pono
Stworzył świat ten oczywiście,
Skoro pędzlem na zielono
Pomalował liście!...
Drwijcie sobie — nic nie znaczy, —
Żem pobożny dziś przesadnie,
A ja twierdzę, że inaczej
Byłoby nieładnie!...

Prośba o pocieszenie.

Kiedy mi czoło chmurzyły blade
Ongi zawiłe życia zagadki,
Tyś, przyjacielu, wyśmiał przesadę, —
Dzięki Ci w żywot wierzyłem gładki!
Dziś znów więc głowę, strudzoną wielce
Przez różne życia smutne wypadki,
Na jasnej złożyć daj kamizelce
I na rozsądnych twych spodniach w kratki!

Naturrecht.

Dziwiłem się, że koncert był,
Choć dźwięków niczyj słuch nie łowił,
Na to mi rzekł „Kurkommisar“:
„Bom ja tak postanowił!
„Czy pada deszcz, czy goście śpią,
„Czy „bad“ opustoszał, — przecie
„Muzyka gra tu o ten czas,
„Jak napisano w gazecie!“
Ha! smutne to... lecz może ztąd
Tak Niemcy idą do góry:
Niemiecki pedantyczny zmysł
Stanowi prawa natury!

Zły system.

To strasznie głupi system był,
Gdy prawda *), to nawet zbrodnia,
Że Heine żonę swoją bił
Dwa razy w ciągu tygodnia!
Ja byłbym inny system miał,
Powiem Ci dziewczę — aniele!
Sześć razy w tydzień jeszcze nic —
Trzeba bić nawet w Niedzielę!

*) Dowiedziono obecnie, że to fałsz. Przyp. aut.

Do albumu Wandy.

Panno Wando, panno Wando!
Niech do piekła mnie zabierze
Sam Lucyper z swoją bandą, —
Jednak wszystko wyznam szczerze!
Jam albumów wróg najszczerszy,
Wieńcz cierniową mnie girlandą,
Tylko nie każ pisać wierszy
Do albumu, panno Wando!
Ach, gdy album ujrzę zbliska,
Panno Wando, panno Wando! —
Wnet mi myśl rozpaczna błyska,
By wynająć zaraz lando,
I uciekać, panno Wando,
Gdzie albumów brak, — z ochotą,
Aż na Poo, na Fernando,
Het, za Szolcem, za Hajotą!

Niedoszły samobójca.

Pierś targały mu ciągłe zwątpienia,
Czarno, tęskno spoglądał na świat,
A rozkosznej przeszłości złudzenia
Tak zatruły mu życie, jak jad.
    Odkąd dziewczę zdradziło go płoche,
    Losy szczęścia nie chciały mu dać;
    Aby zaznać spokoju choć trochę,
    On na szynach położył się spać.
Lecz go dostrzegł maszynista zdala
I pociągu wnet powstrzymał bieg;
Żyje przeto — przeszła smutku fala!
Dziś ma żonę — najszczęśliwszy człek!

Parodyja

Ein Fichtenbaum steht einsam...

Samotny siadł w restauracyi,
Znużony wsparł się o stół,
Chłodzi się piwem i senne
Powieki opuszcza w dół.
Marzy o żonie, co na wsi,
Gdzie cieniem werenda tchnie,
Je jajecznicę w negliżu
I po nim z tęsknoty schnie.

Burza

(Naśladowanie z niemieckiego).

Gdy czarne skrzydła swe rozpostrze noc,
Gdy dzika burzy zapanuje moc,
Gdy w ciężkich kroplach głucho spada deszcz,
Gdy wicher liśćmi wstrząsa, jakby dreszcz,
Gdy niebo ciągle od błyskawic lśni,
Gdy zdala piorun za piorunem grzmi,
Gdy groźne iskry lecą z łona chmur,
Gdy szumi potok, spadający z gór,
A tak nim wściekły powoduje szał,
Że wciąż za sobą rwie odłamy skał,
Gdy w świecie powstał niby chaos nowy,
Gdy wszystko, zda się, tylko czeka zgonu, —
Chyba nikomu nie wpadnie do głowy
Otworzyć wówczas okno od wagonu!

Krótkowidz.

Codzień o jednej godzinie,
Gdym zdążał do biura rano,
Na pewnej ulicy w oknie
Widocznie na mnie czekano.
    Bo zawsze o tej godzinie
    Rączkę przez lufcik wsuwano
    I czułem chustki powianiem
    Witano mnie i żegnano.
Lecz twarzy dojrzeć nie mogłem,
Skromnie ją zawsze chowano,
I tylko coś mi migało
Za szyby powierzchnią szklaną.
    Możebym jednak rozróżnił
    Tę twarz figlarną, rumianą,
    Lecz słusznie, jako krótkowidz,
    Ślepaka nosiłem miano.
Postanowiłem nareszcie
Za szczęsną pogonić zmianą.

Wołam posłańca, co właśnie
Pod domu tego stał ścianą.
— „Weźcie ten bukiet, człowieku,
„I złóżcie przed ukochaną
„Dziewczyną z trzeciego piętra,
„Co chustką powiewa rano.“
Za chwilę wraca posłaniec...
Bez kwiatów... z miną zmięszaną...:
— „To, panie, stara kucharka,
Co ścierki trzepie co rano!“

Sentymentalny.

Oj, na piętrze, na trzeciem,
W okieneczku się świeci,
Bo szybeńki czerwone,
Jak buziaczki u dzieci.
Widać, nie śpi ma rybka,
Widać jeszcze zajęta, —
Jakże-m ciekaw, co robi?
Czy też o mnie pamięta?
Może śpiewa piosenkę
Nad kołyską dla brata,
Może czyta książeczkę
I warkoczyk rozplata.
Może siedzi milcząca,
Za mną myślą mknąc szybką?
Próżno myślę i myślę,
Co ty robisz, ma rybko!

Gdybym ptaszkiem był małym,
Tobym frunął do szybki
I zaglądał ciekawie
Do tej lubej, tej rybki.
Gdybym muszką był drobną,
O, już byłbym na piętrze,
Biłbym w szyby skrzydełkiem,
Pragnąc wlecieć we wnętrze...
Ale jestem człowiekiem,
Ach, to bieda! to bieda!
Żaden środek, ni rada
Na nic mi się nie przyda!
Iść na górę nie mogę, —
Szkoda próżnych zachodów!...
Bo jej papa mi przyrzekł, —
Że mnie zrzuci ze schodów!

Na Wilhelmsfelsen

(w Kurorcie).

Jakiż urok! jakiż czar!
Gdy spoglądasz w dół ze szczytu...
Jakoś szerzej dyszy pierś,
W piersi wzbiera pieśń zachwytu!
    Upojony patrzysz w dal,
    Odzyskujesz czucie, wiarę,
    Całą wieczność stałbyś tak —
    Tracisz całkiem czasu miarę!
Oto z dołu słychać dzwon:
Nie wiesz zgoła, kogo woła:
Czyli wiernych na table d'hôte,
Czy też głodnych... do kościoła!

Żelazny książę.

Gadał wiele, bowiem był ministrem,
Ale gadał, jak podły filister;
Wreszcie los mu kazał być filistrem,
Gadał jeszcze... gadał, jak minister!

Piosenka

na nutę współczesną.

Gdyby tak, gdyby tak
Ożenić się bogato, —
Do Ostendy lub do Ischl
Jeździć każde lato!
    Potem znów, potem znów,
    Gdy się zima zbliża,
    Z manatkami smyrgnąć het
    Do Wiednia, lub Paryża...
Urok gór i morza cud,
To znów gwarno, ludno...
Choćbyś żonki nie wziął tam,
Nie byłoby nudno!
    Za to jej byś czasem słał
    Miły list, zabawny,
    W odpowiedzi żądał zań
    Czuły list... zastawny!

Niechby miała długi nos — długi nos —
I dom na Nalewkach,
Widziałbym w tem wielki los — wielki
[los —
Wielbiłbym ją w śpiewkach!
Dosyć mi, dosyć mi
Ideałów drogich!
Każdy człek, co buty ma
Depce bosonogich.
Nawet stróż, nawet stróż
Przeklnie literata,
Co mu nie ma dyski dać,
A w bramę kołata!
Życie wszak krótko trwa — krótko
[trwa...
Po niem wieczność wróżą:
Trzeba dobrze wypić, zjeść,
Przed taką podróżą!

Kuplety do operetki.

Precz wszelkie smutne dramy,
Na dziś ich dość już mamy!
Szekspir — to stary grat!
Tragedyje nam bez przerwy
Drażniły tylko nerwy,
Lecz dziś już zmądrzał świat!

Hej, tutaj, garson, piwo
I butersznyty żywo!
I sznycel zaraz daj!
Słuchając operetki
I pokarm jedząc letki,
Uczujem w piersiach raj!

I wy, hipochondryczne,
Komedyje satyryczne,
I wy z przed oczu precz!
Miast śmieszyć nas i bawić,

Pan autor chciał się wsławić,
Topiąc nam w piersiach miecz!

Dziś postęp czasu zdrowy!
Śpiewaczki ogródkowej
Zapamiętamy gest,
Kuplety z Gasparone'ów —
Oto dziś dla milionów
Duchowy pokarm jest!

Niech głowa cię nie boli,
Nie będziesz żyć w niedoli,
Wybladłą rozjaśń twarz, —
Pójdź tylko do ogródka:
Sukienka z gazy krótka —
Ot, w czem pociechę masz!

Tem serca nie zmitrężysz,
Mózgu nie nadwerężysz,
Dożyjesz setnych lat.
Dziś lepiej, dziś weselej,
Niech w górę korek strzeli,
Bo zopereciał świat!

Z „Pierścienia Rodzinnego,"
Z „Barona Cygańskiego"
Wyniesiesz dobry smak!
Kuplety Millöckera, —

Ot, gdzie się myśl zawiera,
Ot, w czem postępu znak!

Na „Niniche,“ „Gasparone“
Swe zmysły przytępione —
Dziś kształcić może człek.
Precz bytu wszechkontrasty,
Bo wiek nasz XIX
To operetek wiek!

Powrót z hulanki.

Szedłem sobie Nowym-Światem
Aż tu naraz mnie wymija
Podchmielona, rozbawiona,
Jakaś zacna Kompanija.
Znam ich wszystkich bardzo dobrze,
Lecz zdziwiony na nich patrzę;
Tak zmienieni, tak przebrani,
Jakby mieli grać w teatrze.
Oto przodem kroczy Smutek!
On, co zwykle taki blady,
Dziś na twarzy ma rumieńce!
A we włosach... woń pomady!!
Jasny surdut, biały krawat,
W ręku laska elegancka,
W żółte kratki kamizelka —
Słowem postać szyk — szarmancka!
Za nim Czarna Melancholia,
Owa dama chmurnej twarzy —

Dziś ma lica tak płomienne,
Że przechodnia w serce parzy...
Dziwnym blaskiem świecą oczka
I strzelają nakształt rakiet;
Zamiast zwykłych szat żałobnych,
Ma koloru bordo żakiet!
A pod rękę z Melancholią
Stąpa Rozpacz Rozczochrana —
I zatacza się... O, nieba!
Owa pani... jest pijana!
Znać na twarzy róż i puder...
Suknia mnóstwem barw krzycząca!...
Śpiewa w głos hulaszczą piosnkę
I przechodniów w łokcie trąca...
Przy niej kręci się Pesymizm,
Ma niebieski monokl w oku!
Podskakując, już dwa razy
Zmoczył nowy but w rynsztoku!
Nie znać dawnej w nim powagi
Ba! na licach lśnią rumieńce;
Jakby jaki bankier, włożył
Do kieszeni obie ręce...
Jasny, modny ma garnitur...
Jest widocznie ululany...
Więc Kompanię ową pytam,
W czem jest powód takiej zmiany?
I odrzecze mi Kompanija:
— Pytasz, człeku, zkąd ta zmiana?

Myśmy całą noc hulali!
Pili całą noc szampana!
Prosił wczoraj nas na ucztę
Stary druh nasz, wieszcz nasz młody,
Co posiada znaczny talent
I nieznaczne ma dochody;
Dotąd biedak buty zdzierał,
Chodząc próżno po pożyczkę...
Wczoraj tom poezyj wydał,
U wydawcy wziął zaliczkę!
Więc przez dobroć swego serca —
O, broń Boże, nie przez cynizm! —
Ufetował Rozpacz, Smutek,
Melancholia i Pesymizm!

Nieomylny znak.

Widziałem Ją krótko na balu
Lecz będę pamiętał nie — krótko,
Bo serce mi przy Niej zabiło
Ożywczą i rzeźką pobudką...

Mówiliśmy z nią cały wieczór —
Ach! nieznaczącemi nic słowy, —
Lecz coś jakby tkwiło w przestankach,
W przecinkach i kropkach rozmowy...

I śmiała się ona tak wiele...
I ząbki jej lśniły tak ładnie...
Lecz tak się zazwyczaj ten śmieje,
Co smutek ma w sercu aż na dnie...

Nie odgadłbyś z ust uśmiechniętych,
Że ból jej jakowyś dolegał,

Lecz w nagłych zmarszczeniach jej czoła
Jak gdyby cień bólu przebiegał...

I sądzę, żem nawet uchwycił
Złamanych jej losów ogniwo,
Gdy rzekła, że „życie jest proste,
Lecz często kieruje się krzywo!“

I żal mi jej było niezmiernie,
Lecz myśli nie tknęły mnie płoche!
I czułem, że... trochę ją lubię
I ona też lubi mnie... trochę!...

Lecz, że nas coś ciągnie ku sobie, —
Z jednego wypadku jam wnosił:
Jej mąż do mnie doszedł uprzejmie
I mile na obiad zaprosił!

Przyjaciółka.

Pamiętam... jeszcze na pensyi
Sprzęgły się nasze dwie dusze,
Bo ona ze mną dzieliła
Moje dziecinne katusze...

I później szła ze mną razem
W mojego życia noc ciemną...
Poważne bóle dzieliła
I troski dzieliła ze mną...

A kiedy za mąż już wyszłam,
Pod męża wstąpiłam strzechę, —
Bawiła u mnie w gościnie
Dzieląc mój śmiech i uciechę...

Nigdy fałsz żaden nie zabrzmiał
W tej czystej przyjaźni nucie;

Każdą myśl moją dzieliła,
Dzieliła każde uczucie...

A więc dlaczegóż w wspomnieniach
Boleść mnie dzisiaj zwycięża?! —
Ach, bo odkryłam przypadkiem,
Że... dzieli ze mną i męża!

CYKL X.

NA NUTĘ SATYRY.

Porządek.

Monotonią w przemianach wszechświata
Fatalnie się nużę:
Pedantyczny, okropny porządek
Panuje w naturze.

Noc po dniu, a dzień znowu po nocy
Nadchodzi z kolei;
Rok po roku, jak każe kalendarz,
Wybornie się klei.

Rankiem słońce się zjawia na wschodzie,
Z uśmiechem półgłówka;
Wieczór gwiazd swych brylanty wystawia,
Jak stara żydówka.

Zmiana ciepła i zimna dostarcza
Uciechy dość błahej, —

A godziny luzują się zwolna,
Jak czujne szyldwachy.

Zjesz śniadanie, zjesz obiad, kolacyją,
I leziesz do łóżka;
Ten sam system powtórzy się jutro;
Powiadam, jak wróżka!

Kiedyś bębnem, zazwyczaj cię ciastko
Najmocniej zachwyca,
Póżniej bajka zajmuje cię mocno,
A później spódnica.

Z niejednego wprzód pieca kosztujesz
Owoców miłości;
I sterawszy już siły się żenisz, —
A żona się złości.

Kiedy-ś młody, o szczęściu ludzkości
Rozprawiasz z zapałem,
Starszy — myślisz jedynie o sobie:
Przestajesz na „małem“!

W szkolnych latach z religią wojujesz
I jesteś jej wrogiem;
Czekasz życia ostatniej godziny,
By jednać się z Bogiem.

Pókiś żywy, w szerokim fotelu
Rozpierasz się dumny,
A gdyś umarł, wyciągasz się sztywnie
I włazisz do trumny.

Tam cię zaraz czereda robaków
Na własność zagarnie...
I to w świata porządku się zowie,
Żeś żył regularnie!

Wiara w ludzi.

(poświęca się optymistom).

Chociaż ci żona sypie do befsztyku
Szczodremi palcy proszek arszeniku,
I do sąsiada twego mówi: „Drogi!
Czekaj... wyciągnie wkrótce mąż mój nogi“;
Choć twój przyjaciel przez złość, czy warya-
[cyję,
Anonimową pisze denuncyjacyję,
Na skutek której do prokuratora
Szedłeś pod rękę z policyjantem wczora;
Choć twój synalek, szczędząc ci frasunku,
Pobrał dla ciebie należność z rachunku,
A pomyliwszy się w nazwie ulicy,
Miast ojcu nieść ją, zawiózł baletnicy;
Choć szewc ci sprzedał taka butów parę,
Od której rosną twe nagniotki stare,

Choć piekarz karmi cię chlebem z zakalcem,
A świat za miękość wytyka cię palcem,
Choć w twem gołębiem sercu złość się budzi, —
Człowieku, słuchaj: nie trać wiary w ludzi!

Bo choć się w bólach będziesz wił śród krzyku,
Są antidota na moc arszeniku;
I — jeśli tem cię pocieszyć wypada —
Nie pójdzie żona twoja za sąsiada;
A przez obmowy przyjaciela głupie
Posiedzisz ledwie jaki miesiąc w ciupie,
I gdy brak winy już się udowodni,
Po turmie w domu będzie ci wygodniej;
Syn numer domu i nazwę ulicy
Przypomni, wróci od swej baletnicy,
I świat przestanie ranić ciebie srogo,
I ciasne buty rozdeptać się mogą,
Lepszy chleb kupi ci służba ostrożna, —
Tylko bez wiary w ludzi żyć nie można!

Nakształt świdra

Chcę być polakiem, daję słowo!
Polskości chcę osiągnąć szczyt...
Nie mogę jednak znaleść rady:
Zawsze wołają: jesteś żyd!
    Gdy przed potwarzą bronię żydów,
    Chcąc im wywalczyć jakiś byt,
    Słyszę zazwyczaj szept na stronie:
    „Ach, co to musi być za żyd!“
Kiedy znów chłoszczę wady żydów,
Prawię, że winni uczuć wstyd, —
„Antisemita?“ — mruczą zaraz —
„O, to z pewnością także żyd!
    Gdy zganię czasem polską wadę,
    Lub chrześciański zranię myt,
    Wołają z wstrętem: „To mi Polak!
    „Przecież to najzwyklejszy żyd!“

Gdy wielbię polskie ideały,
Na pruskie rugi wydam zgrzyt,
Mówią: „On innej jest religii,
To nie jest Polak, ale Żyd!“
        Biegnę do księdza, chrzest przyjmuję,
        Chcąc raz osiągnąć łaski szczyt,
        Krzyczą: „On przecież z innej rasy,
        To tylko jest przechrzczony żyd!
Więc wciąż mnie zwątpień trapi hydra,
Wciąż mi zatruwa smętny byt,
Żem ani pies ja, ani wydra,
Żem coś — marnego nakształt świdra,
Żydowski Polak, polski żyd!

---

*
* *

„Obywatelem polskim żyd
Nie może być, ach, wierzcie!“
Kupiłem dom — i jestem dziś
Obywatelem nareszcie!

---

*

* *

Jednego tylko znałem żyda,
Który uznania był blisko:
Nikt mu nie przeczył nazwy „Polak“...
On — „Polak“ miał na nazwisko!...

---

*
* *

Antysemito! w oczach opinii
Szlachcicem pragnąłbyś zostać?
Próżno wskazujesz wąs zawiesisty
I swoją brzuchatą postać!
Nic nie pomogą lica słowiańskie,
Ni pomiatanie żydami:
Pierwszej szlachectwa brak ci zasady:
Gardzisz... własnemi przodkami!

Loteryjka
(dla starszych dzieci).

On na kobiety rzucił swój „herem“
(Przekleństw fabrykat) —
I mówił zwykle z uczuciem szczerem:
„Ach, jak to słodko być kawalerem
Niby — *unikat!*

Widzę raz: trze coś czoło markotne,
Krzyknę: sprzykrzyłeś życie samotne!“
Ja ludzi znam bo:
W istocie poznał dziewczę zalotne
I zrobił *ambo*.

No, i nie było mu źle tak przecie
Z tą żonką wierną,
Która mu wkrótce (jak to na świecie)

Powiła słodkie, różowe dziecię —
I było *terno!*

Przyjęto mamkę, zdrową dziewuchę
I filuterną,
Kochał pan dziecko, lecz wieści głuche
Mówią, że patrzył — nie na pieluchę:
To mi *kwaterno!*

Żona nie mogła znieść tego sromu
I zostać bierną,
Musiała przecie żalić się komu:
Więc ją pocieszał przyjaciel domu:
Wygrał! *kwinterno!*

Ideał etyczny.

Gdy cię ktoś uderzy w twarz
Tak na odlew wyśmienicie,
To policzek drugi spiesz
Wnet nadstawić pod pobicie.
Mieć obity jeden pysk
I nie prosić o zniewagę, —
To narusza wyższych praw
Wiekuistą równowagę!
Bo najwyższą pychą jest
Przeciw krzywdzie iść z reakcyją!
Dostać w papę z obu stron
Jest najwyższą satysfakcyją!

*
* *

Ściemnia się naraz dziejów klisza
Świat znowu sypia niespokojnie...
Jeszcze niedawno trwała cisza,
Nikt się nie ważył śnić o wojnie.

Dzienniki były takie słodkie,
Jak pensyjonarki list miłosny:
Dziewczę, je kręcąc w papilotkę,
Miało na licach blask radosny.

Narody w wonnej atmosferze
Piły z braterskich uczuć zdroju,
A gdy wiązały się w przymierze,
Miały na celu moc pokoju!

Wilhelm otworzył natchnień beczkę,
Szeroko rozwarł swe ramiona

I batystową słał chusteczkę
Płaczącej żonie Mac-Mahona.

Francuz zapomniał o odwecie,
Tonąc w potokach adoracyi,
I tylko czasem słał w sekrecie
Smętny pół-uśmiech ku Alzacyi.

Bismark nie zrzędził: on z pogodą
Pod cieniem lipy spijał Cheres...
Anglik się cieszył ludów zgodą,
Na bok rzuciwszy swój interes...

Każdy, że ciszy tylko pragnie,
Składał przysięgi wzniosłe, szczere...
Ludzkość, potulna niby jagnię,
Zda się wstąpiła w nową erę.

Aż tu nadeszło jakieś licho,
Że się wywraca świat do góry:
Ten i ów nie chce siedzieć cicho,
Rozważa wojny konjunktury.

Francuzki burzy się filister,
W ucho mu wpada słowo: „wojna“, —
Bo oto twierdzi sam minister,
Że teraz doba niespokojna.

Anglik rozstrzyga niepytany:
„Musi się Rossyja bić z Japonią!“
I już gotuje się kasztany
Wygarniać z ognia chciwą dłonią.

Jakichś podejrzeń strugi trysły
I rozlewają się dziś wszędzie:
Nieci pożyczka Chin domysły,
Że nie kupony ciąć się będzie...

Dzienniki wielkim gniewem zawrą,
Że Abisyńczyk bogobojny
Przyszedł pomodlić się pod Ławrą, —
Widzą w tem nowe źródło wojny.

Tam interwiew'er już nagaba,
Czy sobie Bułgar grób wykopie,
Czy macedońska iskra słaba
Rozdmucha pożar w Europie...

Więc mnie dreszcz zimny tnie po skórze
Bo przekonanie miewam szczere,
Że się na wielką zbiera burzę,
Że nie wstępujem w złotą erę.

Takim mnie lękiem zdjęła prasa,
Prawiąc o wielkiej przyszłej wojnie,

Że mi widm szereg w głowie hasa,
I że nie mogę spać spokojnie.

Gdy Chińczyk złotem brzęknie w ręku,
Gdy Abisyński dzwon zadzwoni,
Ja w brzęku złota, w dzwonów dźwięku,
Gotów-em słyszeć szczęki broni...

Gdzie się podziały pisma słodkie,
Jak pensyjonarki list miłosny?
Jak chciwy szczupak drobną płotkę,
Połknął je czasu prąd żałosny.

Petersburg,
Lipiec 1895 r.

Hallucynacyje.

Mózg mój dobiega szaleństwa mety,
Przewrotnie widząc obrazy świata:
Oto się z młotem kowadło brata,
Słowik z jastrzębiem śpiewa duety.

Wiatr w Październiku oddycha wiosną;
Wiekowe bagna stroją się w kwiecie,
I najsmaczniejsze gruszki na świecie
Na starych wierzbach przydrożnych rosną!

Patrzę: odwieczne sercowe rany
Angielski plaster leczy w momencie,
Biała Wenera ze śnieżnej piany
Wychodzi kąpać się w atramencie.

Saturn, połknąwszy niesforne dzieci,
Leczy żołądek Hunjadą gorzką,

Febus zapałką w ciemnościach świeci,
Świetna Aurora zjeżdża dorożką.

Dziwnym widokiem oczy me dręczę: —
Jak blacharz gwiazdy wyrabia złote,
Grabarz weselną budzi ochotę,
A bednarz struga drewnianą tęczę.

Widzę, jak doktór anemję leczy,
Wpuszczając w żyły farbę drukarską;
I jako znachor wiedzą lekarską
Nauce wieków w momencie przeczy.

Wtem nowe cuda, dziwy, sekrety,
Tuż przed oczyma migają memi:
Dziennikarz w jeden numer gazety
Zawinął kawał olbrzymi ziemi.

Zmieniwszy naraz wiekowe ruchy,
Wspina się w górę wodna kaskada;
Tygrys na ziemię, rzężąc, upada,
Rażon śmiertelnie placką na muchy;

Żółw, otrzymawszy rolę sztafety,
W szalonym pędzie wichry prześciga,
A pojedynek karłów rozstrzyga,
Jakiemi będą drogi komety.

Jak miecz Brennusa, półgłówka słowo
Pada na złotą dziejową wagę;
A drżący zając wraz za odwagę
Odbiera w darze gałęź laurową.

Rozsądek zimny kankana tańczy,
Palcem zmazuje na niebie chmury;
I wielkoludów przyszłych z tektury
Fantazyja swojska na rękach niańczy.

Zamykam oczy... cofam się... idę...
A widm mnie ściga tłuszcza jaskrawa:
Liliput włazi na piramidę
I ztamtąd światu dyktuje prawa.

Donkiszot chłodnej uczy rozwagi,
Hamlet bezsporne stawia pewniki,
Tersytes karci brudne okrzyki,
A Falstaf wzniosłej żąda powagi...

Uciekam... biegnę... Wszędzie, niestety,
Dziwacznych wizyj tłum mnie oplata:
Przeciwnie widząc obrazy świata,
Mózg mój dobiega szaleństwa mety.

Warszawa,
1897 r.

Arystypp.

Przekazała na pamięć nam grecka kronika
Pewnego filozofa dziwaczny postępek.
Czy była w nim konieczność, czy podły wy-
[stępek? —
Nie wiem... A więc zdam to na sąd czytelnika!

Słynny tyran Syrakuz, Dionizjuszem zwany,
Cynika Arystyppa na swój dwór zaprosił...
Mędrzec mieszkał na dworze, lecz swoje łach-
[many
U króla na audjencyjach, jak i wprzódy nosił...
Nie olśniły go dworu królewskiego zbytki;
Choć dworzanie się śmieli, a król głową kiwał,
On wciąż zachowywał
Surowy sposób życia i swój kostjum brzydki!

Kapryśny tyran pragnął upór mędrca skruszyć,
A więc do ostatniego ucieka się środka:

Miał pałac, który blaskiem musiał serce wzru-
[szyć;
Niech się cynik z tym blaskiem niespodzianie
[spotka,
Niechaj ujrzy potęgę, przelaną w bogactwo, —
A rzuci żebractwo!
Plan był świetny... Arystypp nie dotrzyma placu!

Pragnąc rozkaz tyrana wykonać z pośpiechem,
Simus, królewski skarbnik, z figlarnym uśmie-
[chem
Sam oprowadza mędrca po nowym pałacu!
Radzi spojrzeć po stronach, na dół i do góry:
Wszędzie marmury!
Wszędzie ozdób wymyślnych zbiór dziwnie bo-
[gaty:
Złotem kapią kolumny i świetne komnaty, —
Posadzki różnobarwną czarują mozajką, —
Pałac jest bajką!

Simus mędrca prowadzi — przystaje co chwilę —
Tłomaczy mu szumnie,
Ilu to niewolników i przez roków ile
Pracowało pod batem przy każdej kolumnie...
Arystypp wciąż w milczeniu przez komnaty
[sunie:
Wtem zaszła rzecz dzika:

Filozof naraz z całej mocy plunie,
Prosto w twarz przewodnika!

Pobladł skarbnik królewski i za twarz się chwy-
[ta; —
„Co to jest?!“ zapyta.
A filozof, jak gdyby zmięszany potroszę,
Odrzecze: „Nie gniewaj się, proszę!...
„Że Go chciałem obrazić, napróżno Pan mnie-
[ma...
„Kierowała mną tylko uważność ostrożna:
„Toć w całym tym pałacu nigdzie miejsca
[niema
Gdzieby plunąć można!

Dyjogenes.

Raz w Atenach w tej porze, gdy jest pełny
[rynek,
Przechodził przez plac znanej kurtyzanki synek,
I bogactwem swej matki chwalił się publicznie,
Że przyjmuje gości licznie,
Że zastawia zawsze stół obficie,
Że znajomym uprzyjemnia życie,
Że podaje owoc rzadki,
Że dom jej opływa w dostatki,
Że on sam ma od niej na wszelkie wydatki, —
Słowem, niema w Atenach takiej drugiej matki!

Tłum, co wiedział wybornie, jakie źródło mętne
Ową panią wsparło,
Słysząc te chwalby namiętne,
Śmiał się na całe gardło...

Spojrzał syn kurtyzanki oczyma wściekłemi
W poczuciu dotkniętej dumy;
Schyla się, kamień podnosi z ziemi
I rzuca go w tłumy...
Naówczas Dyjogenes, co był chwalb tych świad-
[kiem
I tego ataku,
Krzyknie: „Ostrożniej, młody chłopaku,
Bo w *ojca* trafisz przypadkiem!

Majlech Dawid.

(ustęp z 2-ch Samuelowych ksiąg Rozdz. VI).

Nasz Majlech *) Dawid — to mądry król!
O! wie on do czego zmierza:.
Do Jeruzalem sprowadzić chce
Przeświętą arkę przymierza.

Wstawiono skrzynię na nowy wóz,
Skrzynię, co błyszczy od złota, —
Przodem szedł Dawid i cały dwór,
Z tyłu ogromna hołota.

Jedwab, karmazyn i szkarłat lśni
W barw mięszaninie pstrokatej:
Izrael wszystek przybrał w ów dzień
Najlepsze świąteczne szaty.

Od bębnów, skrzypiec, cymbałów, harf,
Powietrze dźwięcznie rozbrzmiewa,

*) Król.

I na piszczałce sam Dawid gra,
Lub psalmy naprzemian śpiewa.

Dwa woły ciągną ze skrzynią wóz, —
I zapał tłumami miota,
Bo skrzynię zdobią cheruby dwa,
Massywne, lane ze złota.

Są to te same cheruby dwa,
Na których Pan Bóg zasiada,
Gdy na niebiosach odbywa sąd, —
(Tak biblia sama powiada).

I myśli Dawid: „na co ma stać
„Ta skrzynka w mieście Gabaa?
„Ją potrzebuje mój pałac mieć —
„To w domu mym będzie chwała.“

Idą... Lecz naraz robi się gwałt:
Oza, syn Abynadaba,
Którego „hucpe“ *) bez miary jest,
A za to roztropność słaba,

Widząc, że woły skręciły w bok,
Błąd świętokradzki uczyni,
Bo skrzynię Bożą zadzierżać chciał —
I palcem dotknął się skrzyni.

---

*) Pycha.

A trzeba wiedzieć, że skrzynia wprzód
U Abynadaba stała,
Więc Oza pragnął, by skrzynia ta
Do domu ojca wracała.

Strasznie się wonczas rozgniewał Pan
I Ozę poraził srodze:
Zuchwały Oza natychmiast zmarł
Przy Pańskiej skrzyni na drodze.

Nasz Majlech Dawid to mądry król!
On zaraz pomyślał sobie:
„Ta skrzynka bardzo gwałtowna jest,
Ja „cures“ w mój dom nie zrobie!“

I jak pomyślał, tak zaraz rzekł,
Machając mocno rękoma:
„Tę skrzynkę Bożą ja proszę nieść
Zaraz w dom Obededoma!“

I Obededom tę skrzynię wziął,
Nie wahał się jednej chwili;
I oto mu błogosławił Pan
I całej jego familji.

I przeto ludzie przychodzą raz
I mówią tak do Majlecha:

*) Kłopoty.

„Ten Obededom szczęśliwy jest,
Szczęście się jemu uśmiecha.

„Meszpuche“ *) jego rośnie co rok,
Ma beczki miodu i wina,
Interes śliczny idzie mu tak,
Jak nakręcona maszyna.

Jego bachurki — to taki cud,
Jak się nie zdarzył nikomu;
A tak mu idzie od chwili tej,
Gdy przyjął skrzynię do domu.“

Nasz Majlech Dawid — to mądry król,
On zaraz pomyślał sobie:
„Co Obededom zarobić ma,
To lepiej niech ja zarobię.“

I kazał skrzynię natychmiast nieść
Do królewskiego pałacu...
Izrael wszystek zgromadził się
Przy dźwiękach trąby na placu.

Jedwab, karmazyn i szkarłat lśni
W barw mięszaninie pstrokatej,
Bo cały naród przybrał w ów dzień
Najlepsze świąteczne szaty.

*) Familia.

Król Dawid włożył wspaniały strój,
Szatę z lnianego efodu,
Dzierzganą w szkarłat i w złoty haft,
Złotem obszytą u spodu.

Od bębnów, skrzypiec, cymbałów, harf,
Powietrze dźwięcznie rozbrzmiewa:
Ów na cedrowej piszczałce gra,
A tamten modlitwy śpiewa.

Z processją niewiast podąża chór
W odzieży o barwnych wstążkach...
I skrzynię bożą kilkoro sług
Niesie z szacunkiem na drążkach.

A kiedy uszli już kroków sześć,
Król Dawid, chcąc uczcić Pana,
Zatrzymał pochód i przyniósł tuż
Ofiarę z wołu, z barana.

I znowu idą... I widzi lud
Wraz zmianę w królewskich krokach:
Król Dawid przodem zdążając wciąż,
Pląsa w wesołych podskokach!

Unosi w górę bogaty strój,
Rozmamrał królewską szatę:

I widać chude piszczele nóg
I widać piersi włochate.

Z okna dostrzega królewski tan
Michola, córka Saula.
Wyszła na domu swojego próg
I drwiąc, powiada do króla:

„O! jak się pięknie poniża król,
Gdy żebrze łaski u Pana;
Wyznać to muszę, że król, jak mistrz,
Potrafi tańczyć kankana!

O jak się pięknie odkrywa król!
Czarując, ganić zabrania;
Przed okiem swoich służebnic i sług
Z wdziękiem swą nagość odsłania!...“

A na to mądry nasz Majlech król:
„Zazdrościsz, córo Saula,
Że z tronu zleciał twój fater Saul,
A Pan mnie wybrał na króla!

Wiedz-że, iż tem się wywyższa król,
Gdy się poniża dla Pana:
Służebne moje bardziej mnie czczą,
Im lepiej tańczę kankana!...“

Familijna uroczystość.

Dziś uroczystość w sąsiedztwie:
Widać, nielada uciecha!
Wesołych śmiechów, okrzyków,
Aż tu dolatują echa.
    Dziś uroczystość w sąsiedztwie:
    Wzniesiono świetną estradę,
    Na amatorski teatrzyk
    Sproszono gości gromadę.
Teatrzyk miły, doprawdy
Można się świetnie ubawić!
Dwaj chłopcy i dwie dziewczynki
Mają dwie sztuczki przedstawić.
    Zwalczyli wszelkie szkopuły,
    Przetrwali wszelkie mozoły;
    Wybornie grają swe role;
    Ach, to mi wieczór wesoły!
Program zabawy zawiera
Przyjemnych szczegółów wiele:

Pozapalano lampiony,
Najęto huczną kapelę...
A noc dziś taka urocza,
I przestrzeń taka gwiaździsta,
I księżyc taki wspaniały,
I atmosfera tak czysta!...
W ogrodzie, w blasku lampionów,
Gdy muzyka grzmi z całej mocy, —
Tańczą ochoczo, namiętnie,
Pod skrzydłem przecudnej nocy!
Dziś uroczystość w sąsiedztwie,
Jaka nie często się zdarza:
Szkoda, że wszystko na cześć
Pewnego *zacnego* lichwiarza!...

Wyborca.

(z angielskiego gruntu).

Brudny łachman na grzbiecie,
Jakieś granie w żołądku,
Mój majątek — te śmiecie,
Codzień w innym śpię kątku...
Ale za nic nie oddam
Mojej władzy i losu,
Bo ja państwem zarządzam,
Bo mam prawo do głosu!
Nie mam grosza przy duszy
Na surowe psie mięso, —
Lecz mandaty rozdaję,
Co polityką trzęsą!
Ja to prawa wydaję,
Podatkami okładam,
Nawet cudzą osobą
W parlamencie zasiadam!

O finansach stanowię
Moją władzą powszednią
I samemu tronowi
Rozkazuję pośrednio!
    Choć mój pusty żołądek
    Cudze bułki dziś korcą,
    Chociaż dziury mam w butach —
    Ale jestem wyborcą!
O tak, jestem wyborcą,
Jestem panem narodu,
I tak długo nim będę,
Aż nie zdechnę gdzieś z głodu!...

Bajeczka.

1.

Opowiem wam bajeczkę,
Co zadziwi was srodze:
Był pewien sufit,
Co kochał się w podłodze.

2.

I nie w żadnej dalekiej,
Lecz w sąsiadce znajomej,
Nad którą wisiał ciągle
Milczący, nieruchomy.

3.

Czuł on taką tęsknotę
Do drewnianej jej cery,
Że blade czoło ku niej
Zbliżyć zamiar miał szczery.

4.

A podłoga, choć z desek,
Miała damską naturę,
Źrenicami swych gwoździ
Oczkowała doń w górę.

5.

Aż nareszcie się sufit
Takim ogniem zapalił,
Że na lubą podłogę
Z całym domem się zwalił.

6.

I oboje w uścisku
Dola jęła tu sroga:'
Sufit prysnął w kawały!
Zwęgliła się podłoga!...
A morał ztąd?

7.

Skoro gołym jest sufit
I podłoga też goła, —
Niechaj wszelkich amorów
Odechce się im zgoła.

---

*
* *

A! co widzę? Radca Ygrek!
Podaj łapę! Tak, to lubię!
Dawno, dawno nie widziałem!
Raz ostatni na twym ślubie!
    Ale jakoś radca wesół,
    Nie przy zwykłej swej powadze,
    A gdzie żona? — „Dziwny czlowiek!
    Tutaj żony nie sprowadzę!
Patrz pan: Mańka, Ceśka, Zosia“...
— Cóż pan robisz z panienkami?
— „Co ja robię?... Ja im mówię
O świętości monogamii!

Niebezpieczeństwo.

W moich pielgrzymkach śród gór
Prawie-m nie spotkał nikogo; —
Wiejska dziewczyna zaledwie
Krętą czasami szła drogą.

Szła krętą drogą ku górze,
Pieśń nieuczoną śpiewała, —
Czułem, jak zrywał się głos,
Ledwie mój krok usłyszała...

Chód jej się zwalniał z początku,
Biegł ku mnie wzrok jej niepewny,
Milcząc, minąwszy mnie zdala, —
Krok przyjmowała powiewny.

Jam dobrze strach jej pojmował,
Ten sam już miałem ambaras,

Gdy w onej górskiej samotni
Stąpanie słyszałem naraz!

Wszystko dobrocią tu tchnie —
(Wzniosła natury opieka!) —
Bezpiecznym czuje się człek,
Boi się tylko człowieka!

Małżeństwo.

Kodeks nasz (Napoleoński)
Postępuje należycie,
Skoro wzbrania nam wyraźnie
Najmu na calutkie życie.
Ale w tem jest dziwna sprzeczność
bezmyślne okrucieństwo,
Że ów kodeks w innem miejscu
Proteguje sam małżeństwo.
A wszak tutaj już nie chodzi
O zwyczajny pracy najem:
Tu wynajem serca każe
Uczuciowym być lokajem!
Wskażcie, proszę, gdzie w naturze
Taki głupi jest artykuł,
Co mężczyznę do kobiety
Na calutkie życie przykuł?!

Nieboszczyk.

Umarł w nocy... umarł nader cicho,
Tak jak cichem było jego życie;
Bez nadziei znalazłem biedaka,
Kiedy-m oczy otworzył o świcie...
    Snać przed zgonem chciał się zbliżyć do mnie
    Gdy go nagle śmierć ujęła w drodze,
    Bo tuż zaraz przy mem łóżku leżał,
    Rozpostarty, martwy, na podłodze.
Musiał cierpieć... kto to wiedzieć może?
Tylko noc go otaczała głucha,
Ona w przeszłość wzięła tajemnicę
Mąk i zgonu tego — karalucha...
    Rankiem sługa przyszła pokój zamieść
    I śród mnóstwa przeróżnych rupieci,
    Bez łzy żalu, bez słowa modlitwy,
    Tego trupa wymiotła na śmieci.
I nie przeszło jej nawet przez głowę,
Gdy te czarne zwłoki wyrzuciła,

Że w nich przecie, jak i w niej, *taż sama*
Tajemnicza pracowała siła.
Na śmietniku nieruchomy leżał,
Wywrócony był ku górze brzuchem:
Muchy, brzęcząc, fruwały w około,
Jakby modląc się nad karaluchem!

*
* *

Do snu, do snu ci już pora,
O Muzo, moje biedactwo!
Czas już porzucić nareszcie
To poetyckie próżniactwo.
    Czas zlikwidować natchnienie,
    Handlowe włożyć chomąto,
    Zamiast sylaby rachować,
    Kupieckie liczyć dyskonto!
Czas zdebetować na wieki
Zapały poezyi święte,
Siąść za kantorkiem bankowym
I liczyć *conto corrente*.
    Merkury! słyszysz? Apollo
    Na głowę rzuca mi „herem“.
    Winieneś stratę nagrodzić:
    Zrób mnie przynajmniej... bankierem!

Do sekretarza Kurjera.

Wybacz mi, proszę, Szanowny Pan,
— Jam winę swą uznać gotów —
Że Ci zabieram najdroższy czas,
Że Ci przysparzam kłopotów.
Może, ślę nędznych wierszydeł stos,
Niegodny krytycznych grotów,
Poezyj, które zganiłby smak
Nawet i Hottentotów!
Apollo bowiem, (wiem o tem sam)
Nie dał mi skrzydeł do lotów, —
Nim do Kurjera, znajdziesz tu coś,
Przez siedem przejdziesz Pan potów.
Doprawdy, lepszy od Twego los
Najostatniejszych Helotów —
Bowiem nie cierpi ich szczęsny słuch
Od nędznych stylowych zwrotów.

Nie potrzebuje ich szczęsny wzrok
Czytywać nawet idjotów,
I szczęsna dłoń ich zapełniać kosz,
Jam mękę Twą uznać gotów!

*
* *

A jednak pragnę na Parnas leźć
W parze dziurawych sabotów?
Ach Panie mój! nie dają mi spać
Laury Kuczyńskich — Or-Otów!
I do dziennika waszego szpalt
Doznaję strasznych „tęsknotów."
Zgrzytnął Ci w uchu ten dziwny rym?
Jam błąd swój uznać sam gotów!

*
* *

Lecz widzę, widzę: cierpisz już dość!...
Nie myślę ja z Tobą drzeć kotów,
Mam dobre serce: oszczędzę ci
Erotów, grzmotów i płotów!
Kończę już, kończę, — czuję, że Pan
Dostałeś w głowie zawrotów,
A i mnie także porządnie mdli
Od mnóstwa takiego „otów."

W powietrzu krąży, błąka się, drży
Ten rym w epoce Or-Otów:
Wlazł mi pod pióro... Sądzę, żeś Pan
Niewinność mą uznać gotów! *)

1891 r.

---

*) Alluzyja żartobliwa do jednostajnego tonu wierszy Kuryjerkowych w owym czasie (r. 1891) — a nie do utalentowanego poety, który następnie dał literaturze naszej szereg pięknych utworów.

*
* *

Wiem, jak rozwiązać kwestyję żydowską,
Co sprawia tyle frasunku:
Wywieszać wszystkich chrześcian lub żydów;
Innego niema ratunku!...
Lecz choć to węzeł trudny przecina
Bez różnych wywodów długich,
Nie można krzywdzić żadnej połowy:
Wywieszać jednych i drugich!

Madrygał.

Szanowna pani! chcesz, bym napisał
Maleńką odę do ciebie!
Wszystko, com niegdyś w myślach kołysał,
Wszystko to z duszy wygrzebię.
Bo chciałbym panią opisać godnie,
Godnie wyśpiewać twe wdzięki,
Inaczej czarną spełniłbym zbrodnię
I krwawej byłbym wart męki!
Ach! twoje oczy — to dwa... nie mogę!
Na to mi brak porównania!
A twoje usta, one tak błogie...
Nie, nie dokończę tu zdania!
A twoje włosy... a twoja głowa...
No, to są... no, jeszcze więcej!...
Nie umiem nawet przyjść tu do słowa,
Choć pragnąłbym najgoręcej...
Nic tu nie zrobi lutnia Getego,
Nic nie uczyni tu Heine,

Mało Petrarki, mało Dantego!
Ich zwroty zbyt są zwyczajne.
Czytając wiersz ich, trzebaby ziewać,
Każdy z nich byłby tu zerem!
Bo, żeby twoje wdzięki opiewać,
Trzeba być *ślepym* Homerem!

Pies i wrona.

Bajka.

Do swej budy drewnianej łańcuchem przykuty
Na podwórku letniego mieszkanka,
Wygrzewając się gnuśnie w promieniach poranka,
Stary brytan wesołe wyszczekiwał nuty.
Tuż po zeschłych gałęziach suchotniczej brzozy
Skakała sobie wrona, ciekawa kumoszka,
I rzecze: „Mości Burku, twoja dola gorzka
Pełną jest hańby i grozy.
Będąc domu ochroną i usługą panu,
Masz ledwie prawo chodzić wzdłuż tego parkanu.
Rozpęd skoku i wolność twych ruchów
Skrępowały nieliczne ogniwa łańcuchów.
Świat jest wielki, podwórzec malutki,
A twój łańcuch tak niezmiernie krótki,
Że nie możesz przemierzyć nawet i podwórka...
Cóż więc w tak dobry humor wprawia pana Burka,

Że w obroży, zaklęte zataczając koło,
Szczeka wesoło?"

A na to Burek: „Mościa pani wrono,
Co przechadzasz się z pompą pod liści koroną,
Powiem ci szczerze:
Ze słów mi twoich wieje przykry zapach buntu,
Fruwając lekkomyślnie w nadziemskim eterze,
Nie tknęłaś widać nigdy filozofii gruntu.
A zkąd wiesz, być może,
I ja rwałem niegdyś tę krzepką obrożę;
Może-m się dobrze skaleczył,
Gdy ogniwa łańcucha w szyję mi się wpiły;
Może-m już stargał siły,
Może-m się z marzeń uleczył?!
I wiem dziś, że pobrzęk łańcucha
Jest potrzebą psiego ucha,
Wiem, że głębokim, niezbitym pewnikiem
Jest ten, że przestrzeń podwórka
Mierzy się długością żelaznego sznurka,
Że obroża zwie się naszyjnikiem,
A naszyjnik nie może być duszy chorobą,
Skoro jest ciała ozdobą!
Wiem, i w dytyrambie śpiewałem przed panem,
Że buda i parkan to dobra realne,
A to, co jest za parkanem,
To, jak powiada Spencer,— jest *niepoznawalne!*
Więc może zechce pojąć Jejmość pani wrona,

Że kawał łańcucha,
Jest rodzajem ogona,
Który idzie od ucha!“

Umilkł, a naówczas odrzecze kumoszka:
„Mówiłeś nader mądrze...
Słuchając, dziób utkwiłam w filozofji jądrze.
Wszystko to może prawda, jednak bardzo gorzka,
Więc jednego nie pojmę, czemu z sercem chro-
[brem
Konieczność nazywasz *dobrem?*
I wciąż jeszcze w zadumie trę łapkami czoło,
Nie wiedząc, jaki dasz dowód,
Że łańcuch ma stanowić do uciechy powód?!...
Nie rozumiem, dlaczego szczekałeś *wesoło!*“

1897 r.

Droga do zbawienia.

Nikczemnemu działać daj
I łotrowi nie bądź tamą:
W złem wstydliwość taka tkwi,
Że ustąpi zaraz samo!
Miłowanie ludzi złych
Zawsze działa najowocniej, —
Przyjaciela kochać masz,
Ale wroga jeszcze mocniej!
Tysiąc uciech znajdzie druh,
Gdy przy tobie jest w pobliżu,
Biedak wróg ma jedną tę,
Że przybije cię na krzyżu!

Nie szkoda!

(odpowiedź na wiersz „Szkoda" Asnyka).

Dobrze, dobrze tym kwiatom,
Które więdną w ustroni;
Śmierć je wczesna ominie
Ze swawolnej złej dłoni.
Dobrze, dobrze i perłom,
Które leżą w mórz toni;
Bankierowa toć niemi
Tłustych rąk nie osłoni.
Dobrze czyni i młodość,
Że uczucia swe trwoni,
Bo je świat by ośmieszył:
Uczuć trudno się broni.
Niechaj wszystkie marzenia
Wnet się w ciemność rozproszą!
Rozczarowań to matki:
One zgubę roznoszą!

Czemu-ż szkoda tych ofiar,
Które nie są rozkoszą?
I te spotka niewdzięczność, —
Słusznie mędrcy tak głoszą.
Czemu szkoda tych pragnień,
Co nie mogą wybuchać?
Na cóż wicher je życia
Ma jak bańkę rozdmuchać?
Czemu szkoda tych piosnek,
Których niema kto słuchać?
Kto wysłucha, — zapomni!
Pocóż próżno więc gruchać?
Na cóż męztwo, doprawdy,
Ma przychodzić do starcia?
Skoro wygrać nic nie ma —
Chyba rany, rozdarcia!
Na cóż serc tych żałować,
Co nie mają oparcia?
Litość słabym zwiastuje,
Że są bliscy wymarcia!...

Czytałem...

(Sonet).

Czytałem te sonety misternego kształtu
I czułem, że mi każdy przedziurawia serce...
Widziałem piekło uczuć w każdziutkiej literce,
Słyszałem w każdym dźwięku huragany gwałtu!

Migały mi w sonetach kwietnych niw kobierce,
Bezkres nieba błękitny i ów ziemski kał tu,
Który marny mój język powtórzyć się bał tu,
Ażeby nie wyśmieli mnie słusznie szyderce...

Podziwiałem „dusz nagich“ woń tęsknie — zdra-
[dziecką,
I ów sprzęt z duchowego wyjęty kredensu,
Sarkofagi, Dryjady, kryte tęczy kiecką,

I przekleństwa, rzucane „kobiecemu mięsu“...
I śmiałem się niekiedy z radości, jak dziecko.
Gdym znalazł w tych sonetach odrobinę *sensu!*

Do krytyka.

Stoisz chwilkę przed świeżym,
Nierozciętym tomikiem,
I... już chwytasz za pióro,
Siedzisz już za stolikiem,
I już z błotem mnie mięszasz,
Już mnie kłujesz przytykiem!

Co za wzrok! Owym wzrokiem
Wiercisz karty pewnikiem...
Jednak — hola, mój panie!
Nim zostałeś krytykiem,
Nie wadziłoby wprzódy
Troszkę być... czytelnikiem!

Moc krytyka.

Krytyk może pogryźć,
Ale przecie nie zje...
Alea est jacta:
Wydam me poezyje!

CYKL XI.

WIĄZANKA RÓŻNYCH TEMATÓW.

Adam Mickiewicz.

(W setną rocznicę urodzin).

(Urywek).

Polały się łzy czyste, rzęsiste...

1.

Wspomniał kiedyś dzieciństwo swe sielskie,
[anielskie,
Młodość górną i chmurną, wiek męzki — wiek
[klęski,
I wraz żałość upadła na wieszcza, złowieszcza,
I na chwilę się złamał duch męzki, zwycięski,
I z tych oczu, zkąd blaski wciąż szły promie-
[niste,
Lać się cicho poczęły łzy czyste, rzęsiste...

2.

Wieszczu! spokój już zawisł nad śpiącą Twą [głową,
Świetny Wawel Cię przyjął w milczące uściski,
I postacią się stałeś już dziś legendową,
Niedościgle wysoki, a sercom wciąż bliski!...

3.

Naród pieśni Twej, wieszczu, wciąż słucha [i słucha
Ale słusznie odgadłeś, że niema nikogo
Co ogarnąłby wszystkie promienie jej ducha,
Całą myśl z niej wyczerpał potężną i drogą,
Całą moc Twoich uczuć odczuł w serca cieśni,
Choć tak jasno i głośno rozbrzmiewa z Twej [pieśni!

4.

Schyla czoło Twój czciciel w rozmyślań mozole,
Bo doprawdy sam nie wie, jakich oczu trzeba,
Aby objąć Twą postać, gdy w poetów kole
Tyś najbliższy jest ziemi i najbliższy nieba!...

5.

Więc sielskiego dzieciństwa anielskie uroki
I młodości zachwyty, zapędy i burze,

I dojrzałej już myśli plan wzniosły, szeroki,
I rozdarta pierś wielka na twardym marmurze—
Oto opis życiowej pielgrzymki rzetelny:
Skromne ramy, — a w ramach tych trud nie-
[śmiertelny.

6.

Jaki trud!... Cała życia narodu epoka,
Cała ziemia, kraj cały, cała ludu dusza,
Jego świetna wesołość i boleść głęboka —
Tkwią w dziesiątku tysięcy wierszy „Tadeusza“!
I chwila z życia ludu będzie trwać przez wieki;
Będzie czuł ją i kochał potomek daleki!...

7.

Cały świat w jednej księdze darowałeś światu:
Wlałeś nową w nas ufność w dni zmiennych
[kolei;
Byt, co umarł, wciąż żyje w kartach poematu,
Nie na wzór odgrzebanej z pod lawy Pompei,
Bo ta—martwa... stężała śród popiołów piasku,—
A byt, który tyś wskrzesił, drga w poezyi blasku!

Pożegnanie z Litwą.

Poświęcone pp A Kiersnowskim.

Żegnaj mi Litwo!... śród twych łąk zielonych,
Wśród szumiących zbóż twoich, morzem roz-
[ciągnionych,
Morzem srebra i złota — mile i wygodnie
Szły mi ciche, spokojne i słodkie tygodnie.
Co dnia długo patrzyłem na obszar niebieski,
Malowny w złotych blasków strojne arabeski,
Podziwiałem obrazy rozpięte nademną,
Czy to śród dni słonecznych, czy to nocą ciemną:
Jakieś mleczne obłoki, jakieś czarne chmury,
Jakieś fale błękitne, jakieś złote góry,
Obrębiane różami, rozrzucone stromo,
Haftowane natury ręką niewidomą:
Aksamitny płaszcz nocy, gwiazdami wyszyty
I poranek, ślubnemi sukniami okryty,
Jakieś kształty promienne i mary wiosenne
Rozkoszne, fantazyjne,— ach! a takie zmienne...
O, szeroko mi było pod nieba namiotem,

Gdym oglądał się wkoło bystrym oka lotem!...
I myślałem ze wstrętem o tem miasta niebie,
Które, zdaje się, samo zaparło się siebie,
Takie wązkie, ścieśnione, szarawe i senne,
Kratkowane dachami, jak okno więzienne,
I jak gdyby pocięte jakąś psotną brzytwą;
Żegnam was, o niebiosa! Żegnam cię o Litwo!

Tu na łonie przyrody słuchałem dowoli
Szeptów wiatru miłosnych śród srebrnych topoli;
Rankiem dźwięczał mi w uchu ptasząt śpiew [łaskawy,
Zmierzchem—sykanie świerszczy, ukrytych śród [trawy;
Nocą — cisza, szumiąca śród mroków milczenia,
Niby nieba i ziemi tajemne zwierzenia.
Zachwycony tym szumem, zasłuchany w ciszę,
Marzyłem, że anielskie jakieś chóry słyszę,
I myślałem ze wstrętem o tem mieście gwarnem,
Które krzyczy i mówi językiem poczwarnym,
Językiem, co wyszydza, ujada się, kłamie
I w zwroty maskowane tak zręcznie się łamie,
Piętnowany haniebną za zyskiem gonitwą;
Żegnam was szumy wiejskie! żegnam cię, o Litwo!

Tak, żegnam cię, o Litwo!... żegnam twoje łany,
Kwietne, żółte, zielone twoich pól dywany,
Twoje sosny iglaste o kształtach świeczników,

Topole, do olbrzymich podobne strażników,
I lipy rozłożyste i wysmukłe jodły,
Co w cichy wieczór ciche wydzwaniają modły,
I białe brzozy z suknią liściastą przestronną,
Co zwykły mnie zaczepiać, gdym przejeżdżał
[konno!...
Żegnaj mi i ty ludu prosty a ubogi,
I wy pochyłe krzyże, stojące śród drogi,
I ty żegnaj bocianie, żegnaj święty ptaku,
Co właśnie lekko płyniesz po niebiańskim szlaku,
I falując skrzydłami, pospieszasz z gonitwą
Tam za drugim bocianem... Żegnaj mi, o Litwo!

Żegnajcie! mnie z tych czarów zaklętego koła
Niespokojna natura już do miasta woła.
Ach, widać duch mój, miejskiem powietrzem po-
[psuty,
Znów tęskni, znowu pragnie atmosfery strutej;
Odetchnąwszy swobodnie w miłym wsi spokoju,
Znów chce w gwarach się kąpać i w kłopotów
[roju.
Żegnajcie! — mnie z tej ciszy zaklętego koła
Niespokojna natura znów do miasta woła!

1885 r.

Nie macie prawa!

Słuchałem waszych żalów i skarg,
Widziałem krwawość duchowych szram,—
A jednak z moich miłosnych warg
Nie rzucę słowa pociechy wam!
Chociaż me serce nie jest ze stali,
Chociaż mi jadem nie struto krwi,—
Gdyście przedemną gorzko szemrali,
Zmarszczyłem tylko gniewnie me brwi!
Mnie nie zadrżało uczuciem serce,
Gdy wam wyrzuty płynęły z warg,—
Ja wasze bóle mam w poniewierce,
Bo wy nie macie prawa do skarg!
Chociażby robak w sercu się wił,
Chociażby z nerwów soki wam pił,—
Nie! wy nie macie prawa do skarg:
Wy pod brzemieniem uchylcie kark;
Niema w was dumy, niema w was sił.

* * *

Powiedzcie tylko: czyście kochali
Walczące prawdy, niedole cnót,
Czyli zaważył u was na szali
Ten wasz nieszczęsny pracownik—lud?
Czyście wierzyli w święte idee,
Za które wielkich wiedli na stos,
Czyście spełnili wieków nadzieje,
W imieniu prawdy podnieśli głos?
Czyście naprzekór podłym i ciemnym
Z odwagą bożą wśród wiru szli,
Serce-ż wam drżało czuciem tajemnem,
Co niezgasalnem światłem się tli?
Umiejąc płakać, umiejąc szlochać,
Umiejąc szydzić złością swych min,
Czyście umieli działać i kochać?
Czyście umieli zostać bez win?
Głową i sercem świecić nad tłumy,
Pod tchem zarazy nie drżeć, jak liść?
Czyście umieli siłą swej dumy
Choćby do grobu podniośle iść?

O nie! bezwstydnie schyliwszy skronie,
Kornie spłaszczywszy swój giętki kark,
Szliście w przepaście, w błota i w tonie,—
I dziś — wy macie prawo do skarg?!

Różanych wieńców żądni dla głowy,
A może laurów dla waszych win,
Nie szliście zdobyć wieniec cierniowy:
Mało wam śmierci za wzniosły czyn!
Nie gardząc fałszem, marząc o błysku,
Niewydeptanych bojąc się dróg,
Trawieni podłą gorączką zysku,
Żądni liberyi duchowych sług,
Bez krzty miłości, bez żadnych celów,
Z sercem, gdzie żółty gnieździ się wąż,
Szliście przez życie drogą fortelów
I tak dziś jeszcze idziecie wciąż!
Światowa maska kryje wam lice,
Rumieniec tai plugawą chuć,
A jednak gniewem lśnią się źrenice,
Umiecie płakać, skarżyć się, kłuć!

*

* *

Słuchałem jęków zbolałych dusz,
Słuchałem szyderstw zgorzkniałych warg,
Wiem, że cierpicie,— lecz milczcie już,
Bo wy nie macie prawa do skarg!

*

* *

Ja wtedy cierpię, wtedy się dręczę,
Gdy czysta skarga trąci mój słuch,

Gdy się zaplącze w sieci pajęcze
Pełny poświęceń i światła duch,
Który pracuje mocą boleści,
Aż śmierć śród pracy w grobie go skryje,
Bo w takim grobie niebo się mieści
I nieśmiertelność — w śmierci tej żyje!
A wy tam jęczcie, rynsztoczne fale,
Że was przydrożny kamień roztrąca,
Mnie nie poruszą te jęki wcale,
Ani ta mętów skarga modląca!
Słuchając waszych żalów i skarg,
Zgłębiając krwawość duchowych szram,—
Nigdy, przenigdy z miłosnych warg,
Nie rzucę słowa pociechy wam!

Artystce.

Poświęcone p. I. T.

Symfonją jest Twoja twarz!
To wszystko, co marzy dusza,
Co kochać i cierpieć zmusza,
W swych oczach i w rysach masz...
Tyle w niej tonów i brzmień,
Przedziwnej melodyi tchnień,
Że patrząc, jak twarzą grasz,
Widz aż do głębi się wzrusza —
Symfonją jest twoja twarz!...

To radość błyszczy w niej złota,
To słodka świeci pieszczota,
To z oczu iskry gniew miota,
To cała przestrachem drgasz...

Ból wznosi się z serca dna,
W zmienionych rysach twych gra,
Na rzęsach perli się łza —
Symfonją jest twoja twarz!...

Co snów urokiem owiewa,
Co duszę czarem zalewa,
Od czego serce omdlewa,—
To w ruchu twarzy swej masz;
Wszelkie uciechy i żale,
Olbrzymią uczucia skalę
Zmiana Twych licców wyśpiewa —
Symfonją jest Twoja twarz!

Czy srebrny zabrzęczał dzwon?
Czy harfy zadźwięczał ton?...
Nie!... to twój uśmiech czarowny...
Już pierzchnął... w twej twarzy w mig
Boleści spostrzegam krzyk,
Niemy — a jakże wymowny!

Myśl w mózgu rodzi się dzika,
Że jest—bez dźwięków muzyka,
Co jako pieśń w serce wnika...
Może, w to wierzyć—naiwnie!
Lecz zkąd są tonów tych fale,
Gdy ty nie mówisz nic wcale,
A tylko—słuchasz tak dziwnie!

Grę barwną uczuć i marzeń,
Akordy przeróżnych wrażeń,
Gdy chcesz—wyrazi twój gest!
Bo oto struny masz w duszy,
A tonów ich nic nie zgłuszy,—
Symfonją twarz twoja jest!

Zachwytu hołd składam oto—
Tobie, co spojrzeń pieszczotą
Przedsmak błogości nam dasz,
Dusze owiejesz tęsknotą,
Lub zmiażdżysz śmiechu ironją —
Bo moc tę dwoistą masz!
. . . .
Jakąż uroczą symfonją,
Symfonją jest twoja twarz!...

Wiersz Sylwestrowy.

31 grudnia 1885 r.

Dzisiaj „święty Sylwester!...“ dziś, gdy wieczór [bliski,
Zastawiają się stoły i dzwonią półmiski;
Pełne gwarów i śmiechów radosnych komnaty;
Dźwięczą srebrnie kieliszki i huczą wiwaty;
Owdzie grajek najęty po klawiszach wali,
A tancerze, tancerki snują się po sali,
Aż posadzka drży głucho i trzęsą się sprzęty,
Jakby rwąc się do tańca... Dziś — „Sylwester [święty!“

Któż tę radość wywołał?... Kto rzucił te czary?!...

Wszakże-ż Stary Rok umarł, wszak skonał Rok [Stary!
Pełen trosk i utrapień i nudy codziennej
I niedolą i łzami ludzkiemi brzemienny

Świadek pracy męczącej, winowajca błędów,
Niewolnik tylu smutnych a silnych popędów,
Co się ciągnął tak szaro dni i nocy tyle,—
Dziś się skończył nareszcie! dziś spocznie w mo-
[gile!
Ztąd to radość konieczna, ztąd uczta potrzebna.
Dzisiaj święty Sylwester! dziś stypa pogrzebna!
Pochowajmy więc starca!...
Jutro z ranną zorzą
Wstanie różowy dzieciak... Twarzą świeżą, hożą,
Wyjrzy na świat... I naraz gwar głosów urośnie,
Ludziska się do siebie uśmiechną radośnie;
Każdy torbę dziurawą pośpiesznie załata
I najmilsze nadzieje chciwie do niej zmiata.
Powinszowań i życzeń i wizyt bez miary,—
I znowu jakieś dziwy, znowu jakieś czary!
Doprawdy z samych życzeń masz już zawrót
[głowy...
Nowy Rok się narodził! zawitał Rok Nowy.

Nowy Rok? — czy to znaczy nowy prąd, nowe
[życie?!
Czy jakiś znak się robi na ziemskiej orbicie?
Czy z gwiazd się nowy numer na niebie układa?
Jakiś blask się zapala, jakiś cień przepada?
Czy bieg dziejów się zmienia?... Czyli może raczej
Oś naszej lubej ziemi schyla się inaczej?
Czy ludzie będą odtąd hołdować Minerwie?

Czy ciężki łańcuch przyczyn i skutków się prze-
[rwie?
Czy się jutro za błędy dzisiejsze nie płaci?
Czy weksel zeszłoroczny swoją wartość traci?
Czy Nowy Rok ze starem żegna się ubóstwem?
Czy niebo zawrze kontrakt z naszych życzeń
[mnóstwem?
Czy Archanioł odłoży czarną życia księgę
I ze starem przysłowiem złoży nam przysięgę:
Że „co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr!“
Czy nie będziem już jutro powtarzać, że „źle
[jest“!

. . . .

Ach, świat kręci się w kółko... i kręcą się dzieje...
Na nowo się ściemniło i na nowo dnieje,
Znowu wstajem i znowu idziem na spoczy-
[czynek,
I każdemu się w czubku kręci mały młynek!
(Wyłączając obecnych... — Mnie przywilej służy,
Że miast małego młynka kręci mi się duży!)

Więc — kiedy noworoczne widzę illustracyje,
Zawsze mi się wydaje (czyżbym ja miał ra-
[cyję?) —
Gdy widzę tego starca, co w przepaść zapada,
Młodzieńca, co na jego miejscu wnet zasiada,
Zawsze mi się wydaje, — (ach! jak myśl ta
[boli), —

Że to Stary Rok tak się umyje, ogoli,
Tak się skurczy, poczerni siwe włosy swoje,
Zrzuci kaftan zszarzany, weźmie świeże stroje,
Nowy numer na czapce przyszyje... Gotowy! —
Oto stoi przed wami tak zwany Rok Nowy!
I naróżowanemi jutro krzyknie usty:
Jam tysiąc osiemset osiemdziesiąty szósty!...
To też to jest rozumem artystów, nie plamą,
Że „Nowe Roki“ zawsze rysują tak samo!

Potem strój się zaszarza i zejdą karminy,
Z pod pudru się ukażą zmarszczki pośród [miny,
Zniknie wreszcie czernidło, włos zobaczysz [siwy,
I głos na ciebie krzyknie, ochrypły, złośliwy:
„Myślałeś, że umarłem? skakałeś na stypie!
Sądziłeś, że Rok Nowy Cię kwiatem przysypie,
Że het! het! jak daleko sobie naprzód zaj- [dziesz,
Że z biegiem czasu może nawet szczęście znaj- [dziesz,
Że pożegnasz się z wad twych i kłopotów [zgrają,
Że stare złe przyczyny potomstwa nie mają,
Że cię może oddzielą od przeszłości czary,
Bo Rok Nowy już nadszedł... Ja jestem Rok [Stary!“

I oto jest przyczyna tej skargi żałobnej:
„Jak ten rok do tamtego był bardzo podobny!“

Lecz nie trwóżcie się nadto złośliwemi słowy,
Na pociechę wam znowu nadejdzie Rok Nowy!
I oto znowu stypa, znów Sylwester święty,
Znów posadzka drży głucho, znów trzęsą się
[sprzęty,
Znowu dźwięczą kielichy, znowu grzmią wi-
[waty,
Znowu pełne są śpiewów i śmiechów komnaty,
Znowu grajek najęty po klawiszach wali,
Znów tancerze, tancerki, snują się po sali,
Znowu dzwonią półmiski, znowu huczy hurra!...

Jakżeż łudzić się umie ta ludzka natura!
Każdy człowiek tak siebie okłamie wybornie,
Jako swego bliźniego! (Przepraszam pokornie!)
Lecz nie klnijcie wy na to!... kląć tego nie
[wolno,
Istność ludzka do życia byłaby niezdolną,
Bez wiary, bez nadziei... Do życia konieczna
Ta łatwość zmartwychwstania i ta młodość
[wieczna!
Człowiek śmiać by się nie mógł w tem życiu
[zdradzieckiem,
Gdyby na szczęście swoje nie był wiecznem
[dzieckiem!

Kto nie wierzy — nie żyje. Chcesz żyć? — mu-
[sisz wierzyć!
Wielkość duszy i szczęścia można wiarą mie-
[rzyć.
I cyfrą są nie tylko Rotszylda miliony,
Bo wiara może także dać procent szalony!
Nietylko elektryczność jest siłą i para, —
Potężną dźwignią także jest w postępie wiara!
I jeśli nawet zawód na drodze nas złamie,
Jeśli wiara nas w końcu omami i skłamie,
Zawsze wierzmy i naprzód stąpajmy z na-
[dzieją, —
Bo najwięksi to głupcy, co się z tego śmieją!
Niech wiara będzie złudą! To złudzenie miłe,
Co w bólach daje szczęście, w przeciwnoś-
ciach — siłę!
Więc mówcie, co tam chcecie, panie i panowie,
Lecz ja z całym zapałem piję „złudzeń“ zdrowie!

---

31 Grudnia 1886 r.

W czem jest ten związek dziwny, tajemniczy,
Pomiędzy ruchem ziemi po orbicie
Śród niezmierzonej wszechświata przestrzeni, —
A drganiem uczuć, żywszym krwi obiegiem
W drobnym kąciku sercowego worka?!
Czemu w tej chwili, gdy ziemski astronom

Średnicę tarczy słonecznej dostrzega
Popod największym instrumentu kątem, —
Czemu-ż to wówczas wszystkie okna płoną
I z cichych ulic, nocy Sylwestrowej,
Widzisz tańczących sylwetki na szybach,
Znowu odbite i znów znikające!...
Gdzież jest ta spójnia między nieb zjawiskiem
A szałem uciech, gwarem biesiadniczym,
Radosnem okiem, powinszowań chórem,
Porozumieniem żołądka z półmiskiem?!
. . . .

Ja znam tę spójnię, ja wiem, gdzie ten związek:
Nicią, co łączy nieskończoność z sercem,
Astronomiczne — z życiowemi fakty
I obieg ziemi z naszej krwi obiegiem,
Jest ta sprężyna, która się nazywa
Poczuciem życia, świadomością życia!
. . . .

Żyć! żyć! oddychać! pełnemi płucami
Wciągać powietrze! być kochanym, kochać!
Widzieć i słyszeć! myśleć i uczuwać!
Uczuwać cudze życie sympatyczne
W uścisku dłoni i oddawać uścisk!
Unosić żywą istotę śród tańca
Przy rzeźkich tonach swawolnej muzyki,
Bawić się, śmiać się, żartować i paplać,
Sprzeczać się, godzić, zachwycać się, ganić,
Smakować wino, podniebienie pieścić,

Wszystko to — żyć jest i uczuwać życie!

. . . .

Lecz, że powszednia mechaniczna praca
Jakby odbiera to życia poczucie, —
Że mgła codziennych trosk i obowiązków
Zaciemnia zwykle rozkoszną świadomość
Tego, że żyłeś i że żyjesz dotąd, —
Że nikt nie liczy życia na sekundy,
Na dnie i noce, minuty, tygodnie,
Bo to zbyt małe są kawałki czasu
I łatwo giną śród potoku wrażeń, —
Więc całą rozkosz świadomości życia —
Zlewamy w jeden dzień, co kończy sumę
Większej dni liczby... Sylwestrowy wieczór
Jest to ów wieczór, w którym każdy człowiek
Spostrzega jawnie, że rok cały przeżył,
Że w wszystkie roku ubiegłe minuty
Puls drgał mu zawsze i serce mu biło.
W połowie roku, lub przed jego końcem
Śmierć nie przecięła mu nici żywota
Ócz nie zgasiła, krwi nie oziębiła!
Z tego co przeżył najwyższa potęga
Jednej mu tercyi odebrać nie może!...

. . . .

A większa rozkosz jeszcze w tem się mieści,
Że Stary Rok ten w chwili, gdy się kończy,
Nie kończy czasu i nie kończy życia
I nic nie kończy!... Bo oto tam—spójrzcie

Gwiaździste teraz palą się pochodnie;
I my je widzim, a za godzin kilka,
Dalsze nam życie zwiastując, z tej nocy
Znowu się złota wyłoni jutrzenka!
I znów żyć będziem i znowu, ach, może,
Nowego Roku doczekamy wszyscy!

. . . .

Ale że szereg ów lat z konieczności
Ma swą granicę dla wszystkich śmiertelnych
I że ponad nią żyć nie można dłużej,
By więcej żyć więc, życzę wam najszczerzej —
Nie sto lat żyjcie, ale żyjcie *szerzej!*

---

31 grudnia 1891.

Śród przestrzeni gwiazd uroczej
Tajemniczy słychać szmer.
Bożek czasu ziemię toczy
Śród bezmiernych świata sfer...
Toczy ziemię koło słońca
Siwobrody czasu bóg,
Bez ustanku i bez końca
Niewidomych szlakiem dróg...
Lecz choć nie zna on wytchnienia,
Chociaż kresu nie zna wraz,

Do pewnego położenia
Wraca zawsze bożek-czas!
I na niemy znak Saturna,
Zda się, ziemia robi skok, —
Stary Rok pochłania urna,
I zakwita Nowy Rok!
I choć wówczas wciąż się trzyma
Starych spraw jednaki stan,
Chociaż w świecie skoków niema,
Niema żadnych nagłych zmian, —
Lecz z dwunastą na zegarze,
W owej dobie, z chwilą tą, —
Promienieją ludzkie twarze,
Wszystkie ludzkie serca drżą, —
Drżą nadzieją odrodzenia,
Wiarą w świt, co spłoszy mrok,
I z uczuciem odmłodzenia
Pozdrawiają Nowy Rok!
. . . .
. . . .

Ludzkie serca! Czy wy wiecie,
Że w tem właśnie wasza moc,
Iż z nadzieją wstępujecie
W noworoczną ową noc!
Bo nadzieja, wiara wasza,
Nowych sił użycza wam, —
Ona wkoło mrok rozprasza
I do świtu wiedzie bram!

Bo kto silnie wierzyć może,
Że jest bliskim światła wrót,
Ten nie legnie w boju porze,
Sam przyspieszy szczęścia wschód!...
Bo kto nawet próżno wierzy,
Niech powstrzyma gniewu gest,
Gdyż w złudzeniu szczęście leży,
W niem prawdziwe szczęście jest!
Bo choć kto ze snu się zbudził,
I przekonał się, że śnił,—
Przecież wówczas, gdy się łudził,
Toć nie mniej szczęśliwym był!
W drogę życia, gdzie się szlocha,
Gdy go ból otoczy znów,
On już zabrał szczęścia trocha:
Wziął wspomnienie złotych snów!
. . . .
. . . .

A więc wierzmy! a więc śnijmy!
Tkajmy złoty szczęścia sen!
I wesoło wraz uczcijmy
Noworoczny wieczór ten!
Niech zaszumi wino w głowie
I z niewiarą wygra waśń:
Wierzcie, panie i panowie,
W tę tęczową moją baśń:
Tobie, mężu i niewiasto,
Coście tu zasiedli wraz,

Odkąd zegar bił dwunastą
Nowej ery świta czas:
Odtąd nigdy nie zaznacie,
Co to niemoc, co to znój,—
Na usługi wasze macie
Elfów, nimf, chochlików rój!
Ten do kolan wam się ciśnie,
Pochylając kornie grzbiet,—
Jakakolwiek chęć wam błyśnie,
Wypełnioną będzie wnet!
I opłynie was w tej chwili
Najpiękniejszych kwiatów woń;
Złotobarwnych tłum motyli
Pójdzie tam, gdzie wasza dłoń.
Kędy stopę postawicie,
Tam posłanie będzie z róż;
Wzrok wasz tonąć ma w błękicie,
Nie ujrzycie chmur, ni burz.
Najcudniejszy śpiew niewieści
Będzie wasz napełniał słuch;
Wasze ciała wraz upieści
Edredońskich kaczek puch.
Jeśli dotknie was pragnienie,
Szampan tryśnie na wasz znak,
A ugłaska podniebienie
Przewybornych potraw smak.
W roku przyszłym żaden człowiek
Żadnych krzywd nie zada wam;

Na mrugnięcie waszych powiek
Chętnie służyć będzie sam.
  Róże mieć nie będą cierni;
  W kasach będzie grosza huk,
  Przyjaciele będą wierni,
  A z pomocą przyjdzie wróg.
Żadna ciała dolegliwość
Nie przystąpi ni na krok...
Niezmąconą wam szczęśliwość
Obiecuje Nowy Rok!

. . . .
. . . .

Gdy więc przyszłość obiecuje
Takich pięknych rzeczy tłok,
Pijmy, panie i panowie,
Pijmy za ten Nowy Rok!

---

31 grudnia 1897.

Na wązkiej kładce czasu, gdy rok stary gaśnie
A rok nowy się rodzi—mięsza się psycholog:
Czy staremu rokowi ma pisać nekrolog,
Czy nowemu horoskop ma układać właśnie.

O roku, który umarł, każe mądrość ludu
Nic nie mówić, lub dobrze... Mówić dobrze — [sztuka...

Nowy rok to niemowlę... Kto w dziecku odszuka
Wyraźne cechy, godne przemówienia trudu?

Ha! mów dobrze o starym... Jak prawy katolik
Nie znalazł on się nawet na śmiertelnem łożu;
Upaja się krzykami, kąpie w wina morzu,
Z kielichem w ręku kona... jawny alkoholik!

Nowy Rok cech wyraźnych niema?... Ktoś tu
[kłamie!
Oto bije dwunasta... coś mi pachnie lichem!
Nieba! to niemowlę rodzi się z kielichem;
W jego twarzy pijaństwa tkwi dziedziczne zna-
[mię!...

Lecz słyszę... Mądry Saturn coś mi szepcze
[skrycie:
„Nie klnij lat — moich dzieci... Jest im przyka-
[zanem
„Rodzić się przy szampanie, konać ze szampa-
[nem,
„Lecz prawo na to mają przez swe trzeźwe
[życie!..."

Z Psalmów Dawida.

(Psalm 79).

Jehowa bądź miłosierny!
W dziedzictwo Twoje niewierny
Przemocą wtargnął się lud;
Twoje ołtarze splugawił
I Jeruzalem zakrwawił
I w proch obrócił Twój gród...
Oto trupami Twych sług
Drapieżny karmi się kruk!
I wywleczone z świątnicy,
Rzucone w środku ulicy,
Wiernych kapłanów Twych ciała —
Gryzie psów sfora zgłodniała!
I jako Jordan szeroki
Płyną krwi świętej potoki:
Miniona zwłoków tych chwała
Napróżno o pogrzeb woła,

Bo niemasz ręki dokoła,
Coby je ziemi oddała!
Złośliwy sąsiad już splata
Znak hańby z naszem nazwiskiem,
Jesteśmy narodom świata
Zabawką i pośmiewiskiem!
O, Panie! dokąd, jak długo,
Trwać będzie gniew w Twojem łonie?
Czyż wieczną ognistą smugą
Twoja zawziętość rozpłonie?
Niech raczej poganin staje
W Twojego gniewu płomieniu,
Raź owe państwa i kraje
Co przeczą Twemu imieniu,
Boć od nich to przyszła zguba
Na wszystko, co jest z Jakóba!
Niech grzechów naszych obfitość,
Z pamięci Twej się wypleni,
Niech szybko znijdzie Twa litość,
Bośmy już do cna znędznieni!
Dopomóż i ocal, Panie,
I daj doczekać zbawienia,
Dla grzesznych miej zmiłowanie
Na chwałę Twego Imienia.
Boć szeptać pogany zaczną:
„Gdzie Bóg ich, gdzie moc ich Boga?
Bądź przeto Istotą znaczną,
Tak dla nas, jak i dla wroga:

Niech widzi, że krew swych sług
Pomści niechybnie nasz Bóg!
Przeniknij turmy swem okiem,
Gdzie więzień w okna kołata,
Skazanych na śmierć wyrokiem
Wyrwij, Potężny, z rąk kata!
Za hańbę, za podeptanie,
Co nas dotknęło sromotnie,
Ukarz sąsiada, o Panie,
I odpłać mu siedmiokrotnie,
A owce Twego pastwiska —
Twój lud rozsławi na wieki,
Przez rząd pokoleń daleki,
Twojego chwałę nazwiska!

Błogosławieni

(Parafraza z Ewangelii Mat. V, 3—12).

Błogosławieni ci,
Co ubogiego są ducha,
Których pobożna myśl
Podszeptów dumy nie słucha...
Którzy nie marzą, że
Duch ludzki, ograniczony,
Przedrze, lub przedarł już,
Wiecznych tajemnic zasłony!
Nie są podobni tym,
Co czoło zuchwale noszą,
Maluczki rozum swój
Za równy wszechświatu głoszą...
Nie tych, co pychą mędrków,
Tych, co skromnością lśnią,
Będzie królestwo niebieskie:
Błogosławieni są!

*
* *

Błogosławieni ci,
Co smętne mają oblicza,
Którym zawistny los
Samych zawodów użycza,
Którzy zbolałych głów
Nigdzie utulić nie mogą,
Z oczyma pełnemi łez
Zdążają życiową drogą,
Z którymi idzie żal,
Stały towarzysz ich doli,
U których serce drży,
Ściska się w piersiach i boli,
W których słomianą strzechę
Pioruny bijąc grzmią,—
Znajdą w wieczności pociechę:
Błogosławieni są!

*
* *

Błogosławieni ci,
Co cisi są i łagodni,
Nie znają, co to gwałt,
I rąk nie nurzają w zbrodni,
Którzy pogodą serc
Przywiążą serca swych braci,

Których spokojny trud
Ziemia owocem zapłaci...
Krótką pozorną moc
Krwawe zwycięztwo zawiera;
Ziemi nie weźmie miecz,
Bo mieczem miecz się odpiera.
Ci, którzy dusz słodyczą,
Którzy pogodą tchną,
Obszary ziem odziedziczą,
Błogosławieni są!

* * *

Błogosławieni ci,
Co prawdy łakną i pragną
I przed tryumfem zła
Tchórzliwie karku nie nagną...
Którzy o koniec krzywd
Głośno wołają zawdy,
Idą w najgęstszy mrok
Szukać iskierki prawdy!
Próżno się nadmie fałsz —
Zawsze doczeka się końca;
Żadna nie skryje noc
Na zawsze promieni słońca!
Ci, którzy prawdy łakną,
Z pragnienia prawdy schną,

Ci nasyceni być muszą...
Błogosławieni są!

* *

Błogosławieni ci,
Co miłosierdzie przynoszą
Co przebaczenie ślą
Z najżywszą w sercu rozkoszą!
Co wszelkich ludzkich ran
Dotkną rękoma miękiemi,
Mają litości skarb
Dla wszelkiej nędzy na ziemi...
Słabość w walce ze złem
Jest zwykłą dolą człowieka:
Nie uległ tylko ten,
Co był od pokus zdaleka...
Gdzie ci, co życie swoje
Bezgrzesznem mienić śmią?!
Łaskawi łaskę też znajdą...
Błogosławieni są!...

*
* *

Błogosławieni ci,
Co czyste ustrzegli serca,
Których nie dotknął trąd,
Zepsucia czerw' nie przewierca...

Chciwca płonący wzrok
Oślepia żółtawe złoto;
Rozpustnik żądzą drży
I nurza się głębiej w błoto...
Ambitny pnie się wzwyż
Za bańką mydlaną sławy;
Okrutnym oczy ćmią
Połyski kałuży krwawej,
Jedynie ci, co ludźmi
Czystego serca są,
Boga w niebiosach obaczą...
Błogosławieni są!

* *
*

Błogosławieni ci,
Co pokój czynią na ziemi;
Zaprawdę tylko tych
Nazwą synami Bożemi...
Toczy się wszędy bój
I wszędy walka wre wściekła,
Brata podeptał brat,—
I cieszą się syny piekła!...
Zwiera się z ludem lud
I dyszy żądzą podboju...
Gdzie ci, co niosą w świat
Oliwną gałęź pokoju?...

Zwaśnionych godzić spieszą
Słowa miłości ślą?,..
Oni synami są Boga...
Błogosławieni są!

*
* *

Błogosławieni ci,
Którzy przyjęli męczarnie,
Za prawdę — własną krew
Oddali światu ofiarnie...
Nie zginie próżno krew
Żadnego idei męża,
Bo poświęcenia moc
Choćby po wiekach zwycięża!...
Zapomni wkrótce świat
Miliardy próżnych zdobyczy...
Moc niezniszczalna tkwi
Jedynie w krwi ofiarniczej!...
Ci, co za prawdę cierpią
I krew oddają swą,
Wejdą w królestwo niebieskie...
Błogosławieni są!

*
* *

Błogosławieni—wy,
Którym tłum srodze złorzeczy,

Którym zawzięty świat
Odmówi schrony i pieczy,
Na których kłamstwo plwa,
Nienawiść zębem błyska,
Obłuda chytrze lży,
Złość kamieniami ciska;
Wy, których cały świat
Żółcią i octem napoi,
Na barki włoży krzyż,
W cierniowy wieniec ustroi...
Gdy pada obelg grad —
Wy czoło święte podnieście,
Bo ociekając krwią,
Błogosławieni jesteście!

* *

Gdy będą ścigać was,
Was, Bożej idei gońców,
I w imię Boga lżyć
Prawdziwych Boga obrońców,
Radujcie się śród mąk,
Na krzyżu bądźcie weseli...
Jasny zwycięztwa dzień
Z pomroków nocy wystrzeli...
Więc w tryumf wierząc swój,
Odchodźcie szczęśni ze świata,

Bo na niebiosach was
Obfita czeka zapłata!
Umarłym odda czas
Wdzięczności hołd głęboki...
Tak samo zamęczył świat
Wszystkie przed wami proroki!

SPIS RZECZY.

CYKL II.

Na łonie natury.

CYKL III.

Akwarele i szkice węglem.

CYKL IV.

Na strunach arfy.

CYKL V.

Z dni smutku i zwątpienia.

CYKL VI.

Na zmiennej fali nastroju.

CYKL VII.

Obrazy i obrazki.

CYKL VIII.

Idee i fantazyje.

CYKL IX.

Scherzo.

CYKL X

Na nutę satyry.

CYKL XI.

Wiązanka różnych tematów.

OMYŁKI DRUKU.

Str 16 w. 15 z góry zam. *„działalnością“* winno być *„dokładnością“*

Str. 81 w. 5 z góry winno być *z chorągiewką* zam. *chorągiewkę*

Str. 206 w. 1 z góry winno być *patryjota* zam. *patrjota*

Str. 256 winno być *„Szulhanaruchu“* zam. *„Szuhanaruchu“*

Str. 259 w 7 z góry winno być *zniechęcone* zam. *zniechęcane*

Str. 262 w. 11 z góry zam. *serce* winno być *serca*

Str. 331 w. 6 od dołu winno być *Melancholią* zam. *Melancholia*

Str. 342 w. 8 od dołu winno być *taką* zam. *taka*

Str. 374 w. 3 z góry zam. *„Był“* winno być *„Był sobie“*

Str. 378 w. 6 z góry przepuszczono na początku wiersza *I*

Str. 384 w. 14 z góry zam. *„nie myślę ja“* winno być *nie myślę*